Nr. 45. Poznań, dnia 11 Listopada 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

# PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.



## Wyziębłe serca.

*„Zmarzniętymi palcami nie rozwiąże się węzła u nici, wyziębionem sercem nawet łatwe rzeczy spełnia się ciężko.“*
(S.)

Wiek XIX. wzbogacił rozumy wieloma odkryciami i zdobyczami, ale też równocześnie dziwnie łatwo wyziębił serca ludzkie.

O ile przybyło w ogóle mądrych i uczonych, o tyle ubyło dobrych i poczciwych.

I u nas w Polsce daje się to spostrzegać z wielkim smutkiem, iż jakkolwiek w nauce postąpiliśmy naprzód, to w uczuciach zacnych i narodowych wychłódliśmy i zobojętnieli.

Zimnych ludzi spotykamy aż nadto często.

A ludzie ci o sercach wyziębłych dla tego są nieszczęściem w narodzie, iż nie chcą przyjmować na siebie nic takiego, coby wymagało poświęcenia lub zaparcia się, iż nawet łatwe obowiązki spełniają ciężko, leniwie, niechętnie.

Trzebaby też zastanowić się nad tem, co ludziom w Polsce serca wyziębia i uboży.

Dawniej, kiedy Polacy, jak żurawie stali na czatach i gotowi byli zawsze do walki z napadającym wrogiem, wtedy biły w ich piersiach serca gorące i ogniem rozpalonego żaru wołały o męstwo i wytrwałość w trudnej, bardzo ciężkiej służbie.

Dziś — tak samo każdy z nas — Polaków powinien stać na straży narodowych praw, bo wrogów nam nie ubyło, lecz się przymnożyło, a my nie słyszymy wołania Ojczyzny i nie widzimy niebezpieczeństw groźnych.

Wyziębłe serca mamy w piersi i jak z kawałami lodu idziemy wśród dróg tylu obowiązków i powinności.

A serca te wyziębłe i zgasły dla tego, iż w życiu rodzinnem i wychowaniu domowem nie umiano ratować duszy dziecięcia od wpływu obcej szkoły, obcych ludzi, nieprzyjacielskich pocisków, nikczemnych posiewów zła i brudoty.

Wyziębło serce temu, kogo matka w domu nie nauczyła czcić Boga i wielbić Jego dzieła! Komu matka w domu nie mówiła o tem, iż wiary skarbnica zbogaca człowieka na życie całe cennymi darami, iż kto chce być lepszym i pożyteczniejszym ten powinien spełniać to co jest Przykazaniami Boskimi przepisane.

Wyziębło serce temu, komu w domu nie mówiono, iż trzeba kochać Ojczyznę, naród, przeszłość i przyszłość naszą.

Wyziębło serce temu, komu kazano tylko o grosz i pieniądz w życiu się troszczyć, a pychą napawano co dzień jego usta, a samolubstwem karmiono ciągle jego duszę.

Tacy pójdą w życie z wyziębłymi sercami i jak lodowe bryły będą się toczyć przez drogę swego istnienia.

Tu — lud mozoli się i szarpie, ażeby o kawał ziemi, o grosz ciężko zarobiony, o mowę ojczystą stoczyć walkę zwycięzką, a oni, ci — z wyziębionymi sercami idą obok niego i nie pomogą, nie wesprą, nie staną w obronie.

Tam młodzież zniemczona upada na duchu narodowym, tam syn już się wstydzi matki-Polki, tam córka już się za niemkinię ogłasza i dzieci po niemiecku wychowuje, a brat, mąż, krewny nie widzi wcale tego, nie pouczy jak się opierać, nie weźmie sprawy ojczystej w obronę, bo jemu to obojętne, że on ma zimne serce i nie odczuwa bolu Ojczyzny w takich chwilach.

Ileżbyśmy to przykładów przytoczyli!... A wy, którzy czytacie w tej chwili te słowa, ileż przypomniecie sobie chwil w życiu, w których Wam bardzo ciężko i smutno było dla tego, iżeście w około siebie nie znaleźli serc ciepłych i gorących!

Dla tego potrzeba ratować ludzi od tego, ażeby im serca nie ziębły.

Trzeba swoje własne serce zbadać dobrze i jak przed spowiedzią św. tak przed samym sobą zrobić rachunek, ażeby się przekonać, czyli serca mamy jak lód zimne, czyli jak ogień gorące.

Czyniąc wyznanie win u krat konfesyonału, powiadamy: — takie a takie grzechy popełniliśmy. Czyż nie powinniśmy przed sobą wyznawać win spełnianych przeciw obowiązkom narodowym? Jeżeli zimne mamy serca jako głazy kamienne, tośmy winni i do poprawy spieszyć musimy.

Jeżeli dzieci nasze są zimne i obojętne, to myśmy winni i ratować ich serca musimy czemprędzej, ażeby potem nie było zapóźno.

Jeżeli nasi sąsiedzi, przyjaciele i krewni są zimni i obojętni, to musimy zawiązywać stowarzyszenia, związki, kółka rozmaite, a w nich pracować przedewszystkiem nad rozgrzaniem serc wszystkich rodaków.

Niezmiernie wielką pomoc w wzbudzaniu uczuć szlachetnych i gorących przynosi nauka historyi. Tak historyi Polski, dziejów powszechnych jak i Pisma św. Bo wszędzie tam są nie wymarzone, nie wyśnione, nie bajeczne postacie jakichś bohaterów, ale życiorysy i czyny ludzi takich, którzy wyziębionych serc nie mieli.

Dlatego potrzeba w domach czytywać głośno opowieści z historyi Polskiej, potrzeba na zebraniach w stowarzyszeniach od czasu do czasu uczcić pamięć któregoś z Bohaterów narod[u] bo takie chwile wpływają bardzo ż...

na obecnych i zziębłe serca rozgrzewają.

Co zaś jeszcze więcej przyczynia się do ogrzania serc naszych, to czytywanie w polskich narodowych gazetach wieści o tem wszystkiem, co się w Polsce dzieje. Kto polskiej narodowej gazety nie czyta, ten nie wie, ile cierpień i smutku po całym kraju chodzi, ten nic rozumie, ile sił trzeba, ażeby się oprzeć i socyalnym agitacyom i niemieckiej gospodarce i moskiewskiej stopie gniotącej. Dlatego — ażeby odważyć swe życie z życiem innych braci, trzeba mieć narodową gazetę w ręku, a kto żałuje dać na to ofiary kilku fenygów, ten już chyba ma nie wyziębłe, ale zamrożone serce. *Iskra.*

---

# Hakatyści szczują.

Kto spojrzy w gazety niemieckie, ten znajdzie w nich co do obecnego strajku szkolnego opinię bardzo podzieloną.

Pisaliśmy już, że pisma katolickie stanęły na tem samem stanowisku, jakie zajmuje całe nasze społeczeństwo, a mianowicie przyznają nam *prawo* żądania nauki religii w języku polskim w szkole.

Pisma niemieckie bezstronne wykazują na tle strajku szkolnego całą nicość germanizacyjnej polityki Prus i otwarcie nawołują do odwrotu. Zwracają one przytem rządowi uwagę na to, że polityczne położenie całych Niemiec jest nader poważne, i że bynajmniej nie należy lekceważyć faktu, czy się ma wewnątrz kraju kilka milionów jednostek nieprzychylnych więcej czy nie. Poznańskie zresztą — tak piszą — zbyt ważną jest placówką dzięki temu, że leży tuż nad granicą mocarstwa Niemcom wrogiego, i że za tą granicą w odwodzie jest także kilka milionów Polaków.

Pisma te ze swego stanowiska nie pochwalają strajku szkolnego — ale tłómaczą go postępowaniem rządu pruskiego względem Polaków.

Stanowisko to nazwać trzeba sprawiedliwem. Dla nas ma ono nie małe znaczenie, wstrzymuje ono rząd w sprawie strajkowej od kroków nierozważnych, do jakich pchają go hakatyści.

Zaiste — hakatyści orgie święcą rozwydrzenia. Gdyby pisma polskie o Niemcach dziesiątą część tego napisały, co piszą o Polakach pisma hakatystyczne, redaktorowie polscy nie wyszliby z więzienia. Pismom hakatystycznym policza się to za zasługę, za dowód patryotyzmu, rozumu politycznego, gdy na Polaków wymyślają.

Drobny przykład; przeglądamy tytuły różnych artykułów i czytamy następujące: walka szkolna, polska walka szkolna, demoralizacya polskich dzieci, podburzanie do strajku szkolnego, polska dziecięca wojna krzyżowa, krnąbrność polskich dzieci, polski fanatyzm, polska rewolucya szkolna — oto najzwyklejsze tytuliki. Co dopiero mieści się za treść w artykułach.

Hakatyści żądają ze strony rządu energicznego postępowania. Stanowisko wyczekujące, jakie rząd na razie zajmuje, wydaje się hakatystom mocno naganne.

Jakież to ma być owo postępowanie *energiczne?*

Rząd ma zakazać wszelkich *wieców*, sądy surowo mają karać odpowiedzialnych redaktorów, władza szkolna ma nieposłuszne dzieci odebrać rodzicom i oddać na przymusowe wychowanie.

Po tej recepcie spodziewają się hakatyści radykalnego uzdrowienia choroby strajkowej.

Przyjrzyjmy się zalecanym środkom hakatystycznym.

Zakaz wieców! — radę tę rząd stósuje aż nadto często. Niema tygodnia, gdzieby wieca nie zakazano, albo nie rozwiązano.

I jaki jest skutek? Pominąwszy to, że strajk bynajmniej nie maleje, nie cofa się, lecz rośnie — rośnie wśród ludności polskiej niezadowolenie, rośnie świadomość „życzliwości" rządu i „przychylności" władz — rośnie uświadomienie narodowe.

Ta więc rada hakatystów pożądanego skutku nie przynosi.

Pakujcie do kozy redaktorów! — tak brzmi druga ich rada. Redaktorzy polscy doznają jednego zaszczytu, że hakatyści robią ich kierownikami całego narodowego ruchu, że widzą w nich przodowników w walce o narodowe prawa ludu— a względy hakatystyczne tem się uwydatniają, że nadają one redaktorom polskim miano „hecerów", agitatorów itp.

Prawda, że pójść do więzienia, nie jest szczęściem — ale to też prawda, że dla podniesienia narodowego ducha potrzeba przykładów. Nie dość, pisać gorąco i patryotycznie — trzeba słowa zamienić w czyn. Tysiące praojców naszych cierpiało w więzieniach, ginęło w syberyjskich lodach — czemużby redaktorzy polscy nie mieli ponieść tej ofiary dla narodu?

I ta rada więc okaże się bezskuteczną — stanie się ona przyczyną do rozbudzenia uczuć narodowych wśród ludności polskiej

Powiadają na koniec hakatyści, że trzeba rodzicom dzieci odebrać i oddać na przymusowe wychowanie.

Ale, gdzież — pytamy — jest tych zakładów tyle, żeby dziesiątki tysięcy dzieci w nich pomieścić?! Całe Prusy, ani całe Niemcy nie posiadają tyle zakładów, żeby mogły pomieścić strajkującą dziś dziatwę.

Jednem słowem, wszystkie rady hakatystów, jak strajk szkolny zakończyć — są niedorzeczne. Rząd popełniłby największy błąd gdyby ich posłuchał. Korzyści po tych radach nie odniesie rząd pruski, ale odnieść może — narodowy ruch polski.

Ale wolna wola rządu. Nam chodzi o rozbudzenie świadomości narodowej wśród najszerszych warstw — jeżeli nam rząd swojem postępowaniem w tem usiłowaniu dopomoże, będziemy mu za to wdzięczni. Jeżeli jednak owoce tej pracy my zbierać będziemy — a nie rząd, to niech podziękuje za „mądre" rady: — hakatystom.

---

# Kwestya żydowska
## w Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy.")

*Lwów, 5 listopada.*

Jedną z bardzo niebezpiecznych i trudnych do rozwiązania spraw jest sprawa żydowska. Jak długo była ona sprawą ekonomiczną, można ją było łatwiej i postawić i przeprowadzić; strzedz się należało jedynie, aby nie popaść w walkę wyznaniową. Dziś jednak sprawa się zaogniła i skomplikowała, gdyż wysunęła się na porządek dzienny jako polityczne zagadnienie i to nawet tak silnie, że przyćmiła ona nawet straszaka antysemickiego, który kazał żydom upatrywać wroga w każdym, co na ich urojenia się nie godził.

Do roku mniej więcej 70 nie zajmowano się w Galicyi zupełnie żydami. Handlowali i kramarzyli sobie spokojnie, wyzyskiwali swym sprytem biedną i wiecznie potrzebującą ludność wiejską i miejską i byli niezbędnem narzędziem do wszystkiego u sfer szlacheckich. Po miastach bogacili się na pośrednictwie i lichwie i uważali się za Niemców. Szlachta miała niepodzielne rządy w kraju i miała propinacyę, którą wydzierżawiała tylko żydom. Przez propinatorów łatwo było przeprowadzić wszelkie wybory na wsi poczynając od wyborów do rad gminnych, a kończąc na wyborach do rady państwa.

W roku 1873 przeprowadził centralistyczny rząd wiedeński bezpośredni wybór do rady. To wystarczało zupeł-

nie w stosunku do żydów i dla szlachty kwestya żydowska nie istniała.

Jednak nie wystarczało takie pojęcie współobywatelstwa dla tych, którzy w życiu publicznem patrzeli dalej jak do granicy klasowych interesów. Spostrzeżono wnet, że wzmagający się ruch samopomocy ekonomicznej wśród ludu wiejskiego przez tworzenie kółek rolniczych i gminnych kas pożyczkowych wskaże ludności wiejskiej na wroga ekonomicznego siedzącego pod bokiem — żyda. Przekonano się, że oświata szerzona coraz silniej przez towarzystwa oświatowe wskaże wnet na wroga tej oświaty przeszkadzającej w łatwych zdobyczach — znowu żyda. Zauważono jednak, że to obudzenie się świadomości niebezpieczeństwa tak bliskiego może spowodować starcia, których uniknąć by należało i w interesie ludzkości i w interesie narodowym. Życie wspólne na tej samej ziemi konieczne i nieuniknione dzisiaj, należy je zatem uregulować tak, aby było i znośnem i uczciwem.

W myśl też tego rozumowania podjęto około roku 1880 akcyę tak zwaną assymilatorską. Chciano żydów przemienić w Polaków. Myśl tę popierali za wpływem dwóch żydów, którzy w roku 63-cim czynem stwierdzili, że Polskę kochali t. j. Goldmana i Zukra, przedewszystkiem żydzi lwowscy.

Do pracy tej niosącej oświatę i poczucie polskości w ciemne masy żydowskie rzuciła się przedewszystkiem kształcąca się młodzież tak chrześciańska jak i żydowska.

Zaczęto wydawać pismo polskie, otwierano czytelnie, uczono po polsku prywatnie. Ten kierunek poparła i prasa ówczesna usuwając różne uprzedzenia do żydów.

Czy jednak sprawa ta pojęta była źle i nieumiejętnie ją prowadzono, czy może nie było prócz u kilku jednostek starszych i całej młodzieży szczerości, czy też może za silne już były za sprawą wykształconych, a zniemczonych sfer żydowskich wpływy wiedeńskie, dość, że akcya ta upadła wnet. Zdaje się że powodem była właściwość żydów, którą tak trafnie określił Stanisław Szczepanowski mówiąc, że żydzi zawsze idą za silniejszymi, a u Polaków w tym czasie siły nie było. Galicya stała się po roku 1873 zupełną prowincyą austryacką i dla znacznej liczby Polaków, a zwłaszcza dla tych rządzących krajem Wiedeń był Mekką, do której wszyscy prawowierni dążyli.

Został jednak ślad po tej robocie. Spostrzeżono, że żydzi są, spostrzeżono czem są i zaczęto wobec tego brać się do samoobrony. Z Wiednia rozszerzyły się hasła antysemickie i przyjęły się u nas częściowo tem łatwiej, że okazało się to takie miłe dla naszej natury nie przedsiębiorczej i w narzekaniu szukającej ratunku i pociechy.

Wystarczało powiedzieć, że naszej biedzie ekonomicznej winni przedewszystkiem żydzi, aby znaleść w krzykliwym i nieproduktywnym antysemityzmie lekarstwo na to złe. W dodatku wszczął się silny ruch ludowy polityczny przeciw rządzącej wszechwładnie szlachcie. Szło o zdobycie należnych się ludowi mandatów zabieranych stale przez szlachtę za pomocą żydów. O konflikt zatem nie było trudno. Doszło też do kilku smutnych zajść wśród których chłop polski stracił licznie i życie i wolność.

To sprowadziło otrzeźwienie. Samopomoc ekonomiczną postawiono właściwie, nie jako walkę z żydowstwem, ale jako usunięcie chytrego i nieuczciwego a łakomego pośrednika i demoralizatora. Tak też sprawa ta stoi dziś u ludu kupczącego i kramarzącego na równi z żydami i opanowującego karczmy, siedlisko demoralizacyi, przemieniając je powoli na gospody, z których wygnano pijaństwo.

Tak jednak nie patrzą na tę sprawę żydzi. Rozumują oni, że dzieje im się krzywda przez rugowanie ich z dawno zajętych miejsc, przez odebranie lichego często, ale zawsze łatwego zarobku.

Nie wchodzę w to czy słusznie rozumieją; nadmieniam tylko, iż w państwie konstytucyjnem wszystkie pola zarobkowe są dostępne dla wszystkich obywateli.

Tę rzekomą krzywdę żydowstwa podchwycili syoniści, którzy w Galicyi mają odrębny program polityczny, bo nie opuszczając jej dla przeniesienia do Palestyny, głoszą, że są odrębnym narodem w tym kraju i żądają dla siebie jako narodu odrębnych praw. Że są za słabi, aby mogli swe żądania w jaki bądź sposób poprzeć, łączą się z Rusinami, byle przeciw Polakom, którym za dążenia asymilatorskie wypowiedzieli nie ubłaganą walkę. I tym sposobem sprawa staje się dla polskich interesów niebezpieczną. Jest bowiem wiele okręgów wyborczych, zwłaszcza miejskich, takich, które przeznaczone są dla Polaków, ale w których jak pójdą żydzi z Rusinami wyjść mogą żydzi i Rusini po połowie.

Wobec tego niebezpieczeństwa należy postawić interes narodowy na pierwszym planie, ruchowi oświatowemu podać szczerą a silną rękę i zdobywać rzeczywistych przyjaciół politycznych wśród szerokich mas żydowskich.

*Bes.*

# Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy“).

**Warszawa**, 5 listopada.

Z uczuciem smutku i bolesnego przygnębienia obchodziliśmy pierwszą rocznicę manifestu konstytucyjnego w dniu 30-go października.

Tyle rozwianych złudzeń, tyle zaprzepaszczonych nadziei! a na ich miejscu — twarda, ponura rzeczywistość, wzmocniony ucisk i szał reakcyi z jej okropnościami wszystkiemi, a więc z sądami wojenno-polowemi, karami śmierci, przepełnionemi więzieniami, prześladowaniem prasy, wyrokami administracyjnemi. A wszystko to na tle ogólnej nędzy, ruiny, bezprzykładnego w dziejach bandytyzmu, anarchi pomięszania pojęć, stopniowego zatracania różnicy między złem a dobrem w umysłach ludzkich. Obraz złowrogi, wspomnienia świeżo przeżytych cierpień okropne, lecz ufność i gorąca wiara w niezachwianą moc ducha narodowego nie pozwala nam poddawać się na przyszłość rozpaczy, a każe wierzyć, że naród polski zwycięzko wyjdzie z ciężkich doświadczeń dzisiejszych.

I dziś już pomimo trudnych warunków, nie opuszczamy rąk, lecz wyzyskujemy dodatnie strony nowego porządku rzeczy, jaki zapanował po manifeście konstytucyjnym.

Dzień 30-go października roku 1905 stanowi epokę, od której powrót w ty! na dłuższą metę jest niemożliwym. T co widzimy dzisiaj, jest tylko rozpaczliwą walką resztek starego porządku z zbliżającym się nowym.

Porządek stary chwilowy ratunek swój widzi w stanach wojennych, ustawach wyjątkowych.

I to zmaganie się światła z ciemnocią trwać będzie dłużej, niż sądzić mogą politycy europejscy, mierzący Rosyę miarą Europy Zachodniej.

Rewolucya we Francyi, Niemczech Austryi mogła odnosić tryumf natychmiastowy, acz i tam również jeszcz lat szereg po roku 1848-ym tułały si lub dziś się jeszcze tułają (w Prusach) resztki absolutyzmu. A cóż tu mówi o Rosyi?

Objawem żywotności naszej w tyc ciężkich chwilach jest wyzyskiwani staranne tych wszystkich nowych ustaw i ulg, jakie nam rząd nadał po manifeście październikowym i jakich cofna bądź nie mógł; bądź nie miał po prost celu. W porównaniu z dawniejszym stanem rzeczy, jest wprost nieoceniona dla nas wolność samopomocy na pol oświatowem. Dawniej każdy krok inteligencyi polskiej, skierowany ku ludowi wiejskiemu lub miejskiemu, w celu niesienia oświaty, wspierania du

chowo, podnoszenia moralnie, był udaremniony. Warstwy wyższe niczem nie mogły wyrównać dzielącej je od ludu przepaści. A stan ten trwał lat dziesiątki, a ciemnota i zdziczenie moralne wśród ludu miast ustępować, zwiększały się stale. — To wszystko musimy uwzględnić, aby módz ocenić wartość nowego porządku. Już to samo, że pozwala nam szerzyć jawną oświatę polską wśród ciemnych tłumów, zakładać szkółki, ochrony, kursa analfabetów dorosłych; czytelnie i domy ludowe, wykłady popularne i t. d. i wszystko to samodzielnie zupełnie, bez nienawistnej opieki czynowników rosyjskich, jest dla nas wprost nieocenione. Ruch na tem polu jest tak wielkim, że niema dnia, by na obszarze Królestwa nie założono kilka kół nowych Macierzy Szkolnej, ochronki lub ludowej szkółki, i to w znacznej części z ofiar maluczkich, włościan i robotników. Do kół Macierzy garnie się licznie duchowieństwo prowincyonalne i większość kół na czele ma zwykle proboszczów miejscowych. Postępuje również, acz powoli, organizacya kółek rolniczych, wreszcie, jesteśmy w przededniu reformy, zdolnej na całkiem nowe tory pchnąć życie społeczne i ekonomiczne Królestwa Polskiego.

Tą wielką reformą będzie u nas wprowadzenie samorządu ziemskiego i miejskiego. Jest ona zdecydowana już w drodze prawodawczej.

Królestwo Polskie należy do tych niezwykłych w Europie krajów, gdzie całkowicie panuje ustrój administracyjny, gospodarka biurokratyczna zarówno na wsi, jak w mieście. Samorząd miast i powiatów jest u nas całkiem nieznany. Wszelkie funkcye spełniane w Europie i nawet w Rosyi przez władze wybieralne — rady miejskie lub rady powiatowe, albo gubernialne, są u nas załatwiane przez urzędników mianowanych, rządowych, w dodatku jeszcze obcych ludności pochodzeniem, nie znających jej potrzeb i nie odpowiedzialnych przed nią.

Jedyną formą samorządu miejscowego jest gmina *wiejska*, rządząca się według ustawy r. 1864 samodzielnie, obierająca pisarza i wójta, rozkładająca podatki i mająca pieczę nad znajdującemi się w obrębie swoim urządzeniami kulturalnemi. Gminą rządzi zebranie gminne, według ustawy zbierające się 2 razy do roku, a składające się z wszystkich posiadaczy ziemskich, mniejszych i większych. Władzą wykonawczą jest wójt, zatwierdzany przez naczelnika powiatu.

Samorząd gminny, szczupły sam przez się, jest jeszcze uszczuplany stale samowolą władz rządowych, naczelników powiatów wyzyskujących ciemnotę lub bojaźń gminiaków.

Ruch gminny, mający na celu uwolnienie gminy od gwałtów rządowych i zmuszenie władz do poszanowania ustawy r. 1864, datuje się od lat 3-ch i jest w całości dziełem stronnictwa demokratyczno narodowego, zaprawiającego włościan do walki politycznej o prawo narodowe. Ruch ten ma na celu przedewszystkiem spolszczenie urzędowania gminnego, przynajmniej ustawą r. 1864 nie zakazanego. Liczne represye, jakie wywołał, aresztowania masy wybitnych włościan i obywateli — stoją nam świeżo w pamięci.

Pozatem nie posiadamy samorządu lokalnego. Rozpaczliwy stan dróg i szpitali, szkół i ochronek, nędza proletaryatu miejskiego, zdzierstwa podatkowe, fatalna organizacya robót publicznych, pomocy lekarskiej, lokomocyi wodnej i t. d. — oto są skutki dotychczasowej rabunkowej gospodarki biurokratycznej w Królestwie. Najmniejszej nie ulega wątpliwości, że po wprowadzeniu u nas ustroju samorządnego Królestwo szybkim krokiem podążać zacznie po drodze rozwoju kulturalnego. Znaczną część władzy dotychczasowych naczelników powiatowych i gubernatorów przejmą organy wybieralnych przez społeczeństwo rad powiatowych i gubernialnych, władzę nad gospodarką miejską obejmą rady miejskie i prezydenci z wyborów.

Na rosyjskiej ustawie samorządu ziemskiego i miejskiego odbił się w stopniu znacznym ujemny wpływ biurokracyi. Prawa ziemstwa od czasu ich wydania uległy powolnym ograniczeniom, aż ustawa z r. 1894 zakres działalności ziemstw ograniczyła do zera. Obecnie idzie o to, czy do Królestwa wprowadzić ustawę ziemską z r. 1894, czy też nową, która dopiero ma być uchwaloną przez Dumę. Sprawa ta była przedmiotem obrad zjazdu stronnictwa centrum Rady Państwa; obecni posłowie polscy do Rady przemawiali za wprowadzeniem do nas owej ustawy z r. 1894, a później dopiero zastosowaniem zmian, uchwalonych przez Izbę, w tej ustawie. Idzie tu o to, by samorząd lokalny chociaż w tak nieudoskonalonej formie, był jaknajprędzej zastosowanym w Królestwie, bo nadzieje na owocność prac Dumy są słabe, a termin wytoczenia przed nią kwestyi samorządu Królestwa może bardzo odległym. *Sarmata.*

---

## Chłop rosyjski w życiu domowem.

(Korespondencya własna „Pracy“)

**Petersburg**, 5 listopada.

Ziemia, którą chłopi odebrali od rządu, nie należy pojedyńczym właścicielom, lecz gminom, które ją co kilka lat pomiędzy swych członków rozdzielają. Wskutek tego zdarza się często, iż rola chłopska leży w dalekiem oddaleniu od jego chaty, co już samo przez się utrudnia staranną uprawę ziemi. Oprócz tego chłop, nie wiedząc, czy ta sama ziemia, którą dziś posiada, za rok będzie jeszcze w jego posiadaniu, nie ma najmniejszej chęci, dokładać na nią trudu i kosztów. Osuszanie lub jakieśkolwiek wogóle ulepszenie roli jest dla chłopa rosyjskiego rzeczą, o której on nigdy w życiu nie słyszał. Nawozów sztucznych nie zna on nawet z opowiadania, a nawozu stajennego nie wywozi w pole po części z przyrodzonego lenistwa, a po części też dla wspomnianej już przyczyny, tj. dla niepewności, czy ziemia za rok będzie jeszcze w jego posiadaniu.

Dodać do tego należy różne zabobony i religijne przesądy. Tak n. p. uchodzi za dawny zwyczaj, nie kosić siana przed św. Janem.

Zdarza się bardzo często, że łąki czekają kosy o jakie dwa tygodnie przed św. Janem i że pogodne i suche dni do koszenia po prostu zapraszają. Chłop jednakże ręki nie rusza, zardzewiała kosa wisi w izbie, a jeżeli tuż po św. Janie ulewne deszcze zniszczą łąki, zasypując je piaskiem i mułem z wezbranych rzek i strumyków, to chłop pociesza się w swoim tępym fatalizmie, mówiąc: „Boh tak wielił“ tj. Bóg tak rozkazał!

Obecnie tylko mniejsza część chłopów posiada konia, a para koni trafia się tylko u bogatszych. Większa część orać musi krowami a i tych często nie staje, bo egzekucya cesarska ostatnią krowę w jesieni zabrała. W takim razie chłop zaprzęga babę do pługa lub pozostawia rolę odłogiem.

Zabudowania chłopskie, jak już przy wstępie wspominałem, przedstawiają widok nad wszelki wyraz smutny i jednostajny. Tu i owdzie tylko sterczą suche topole lub brzózki, kwiatów wogóle nigdzie nie widać. Warzywne ogrody są rzadkością, a i w tych sadzi chłop prawie wyłącznie tylko ogórki, cebulę i kapustę. Ogórki stanowią jedyny zbytek chłopa rosyjskiego. Spożywa on je latem zupełnie surowe z największym apetytem, bez soli, i zapija wódką. Jednakże prawie przy każdej chacie kawałek ziemi zasiany jest lnem, z którego chłopka w długich zimowych wieczorach sporządza odzież dla siebie, dla męża i dla dzieci. Chłop w zimie za to nie ma najmniejszego zajęcia. Zboże wymłócone, bydłem zajmować się musi baba, czytać chłop nie umie, nie pozostaje mu więc nic więcej, jak pleść

łapcie i spać na piecu. Ostatniemu zwłaszcza zajęciu oddaje on się z prawdziwem zamiłowaniem.

Jeżeli położenie chłopa rosyjskiego wogóle jest opłakanem, to los kobiet wiejskich jest po prostu okropnym i nie masz z pewnością na całej przestrzeni pomiędzy oceanem atlantyckim a spokojnym stworzenia pozbawionego bardziej wszelkich praw ludzkich, niż chłopka rosyjska. Już przy samem urodzeniu dziewczęcia ojciec patrzy na nie niechętnie, ponieważ spodziewał się chłopca t. j. dwóch rąk do pracy rolnej zdatnych. W niektórych okolicach istnieje zwyczaj, że chłopa, którego pierworodne jest dziewczęciem, znajomi po chrzcie przekładają na ławę i częstują sporą porcyą batów. Operacya taka nie jest bynajmniej symboliczną, kumotrzy oprawiają swego draba do łez i sińców, a uskarżać się za to nie może, ponieważ tak chce starodawny zwyczaj. Śmieszny ten i surowy zwyczaj zachował się prawdopodobnie z czasów niewoli tatarskiej, kiedy narody wojujące i koczujące uważały tylko mężczyzn zdolnych do boju za członków rodziny a na kobiety zapatrywano się jak na ciężar utrudniający wojnę i koczowanie.

Skoro dziewczę dorasta do 5-ciu lat, używane jest zaraz za niańkę do młodszych dzieci. Jeżeli takich w rodzinie nie masz, w takim razie oddają dziewczę na służbę do bogatszych sąsiadów. W takim stanie dorasta dziewczę do lat 15, w którym wieku może już wychodzić za mąż. Teraz zaczyna się dlań czas tak nazw. „gulania“, t. j. wieczornych przechadzek, na których dziewczęta zawierają znajomości z młodymi chłopakami. Takie „gulanie“ połączone jest często z pijaństwem i wybrykami jeszcze gorszego rodzaju.

Dziewczę chłopskie w niezmiernie rzadkich wypadkach pozostaje czystem i nietkniętem do wyjścia zamąż. Wspólne pożycie w jednej izbie przy licznej rodzinie, prostota obyczajów, która zmusza do otwartego omawiania i czynienia tego, co zwykle dla dzieci a zwłaszcza dla dziewcząt pozostaje tajemnicą, i która posuwa się tak daleko, że chłopcy i dziewczęta dla braku miejsca sypiają w jednem łóżku, lub na jednej kupie siana i kąpią się razem w jednej beczce, wszystko to naucza dziewczę chłopskie zapatrywać się z dzieciństwa na życie bez wstydliwości i t. p. względów. Takim sposobem dziewczę dojrzewa z zupełną świadomością wszystkich tajemnic płciowego życia. Bajka o bocianie, który przynosi dzieci, jest u chłopa rosyjskiego zupełnie nieznaną.

Tak przygotowana wychodzi młoda dziewczyna za mąż i na znak tego zamienia dotychczasową suknią w paski na kratowaną. Teraz zmienia się od razu cały jej tryb życia. Z wyjątkiem uprawy ziemi spada cały ciężar pracy na jej barki, troska o wyżywienie rodziny i bydła, o odzież, o utrzymanie domu, słowem o wszystko. Chłop w zimie oddaje się zupełnie lenistwu. Kobieta zatem spełnia wszystkie obowiązki i jest rzeczywiście niewolnicą. Całemi nocami przesiaduje u kołowrotka, przędząc przy świetle drzazgi a często nawet pociemku. Kilkadziesiąt łokci płótna stanowi całe bogactwo tego pożałowania godnego stworzenia. Często mąż przepija całą jej pracę; w ogóle obchodzi się on z nią nie jak z towarzyszką życia lecz jak z przedmiotem. W tem przekonaniu utwierdza go pop, który mu ciągle powtarza, że według przykazania boskiego, kobieta powinna być poddaną mężowi. Dla tego wyjątkiem są tacy mężowie, którzy nie maltretują swoich żon w najokropniejszy sposób. Okrutny ten zwyczaj przeszedł tak dalece w przekonanie całego narodu, iż kobieta, której mąż nie bije, podejrzewa go o niewierność. *Seweryn.*

---

# Książę kardynał Kopp

## wobec religijnego wychowania dziatwy polskiej.

W przeszłym tygodniu pojawiła się w pismach polskich z Górnego Śląska podwójna wieść: strajk szkolny rozpoczął się w Zaborzu — wiec w sprawie wychowania dziatwy polskiej odbędzie się w Katowicach.

Wiadomość strajkowa jest tak drobna, że w zwykłych warunkach poprzestalibyśmy na zwykłej, krótkiej wzmiance.

Nabiera ona jednak wagi wobec zainteresowania się miarodajnych czynników górnośląskich strajkiem i połączoną z nim palącą kwestyą wychowania dziatwy polskiej.

Szczególnej jednak wagi sprawa ta nabrała na G. Śląsku z tego powodu, że pierwsi zajęli się nią — *księża*, że wśród księży tych stanęli także zdeklarowani zwolennicy centrum. Wymienimy tutaj tylko ks. Jana Kapicę, który nie tak dawno jeszcze kandydował przeciwko Korfantemu.

Wiec miał być zwołany na dzień 6 listopada. Pisma polskie, oceniając doniosłość tego wiecą, z wielką radością nawoływały do uczestnictwa w nim. Zainteresowanie — oczekiwanie było ogólne.

W powietrzu zdało się wisieć pytanie, jak też odbędzie się to zbliżenie się dwóch dotąd zwalczających się prądów — narodowego i centrowego? Co postanowią dla obrony wspólnego, a równie drogiego jednym jak i drugim skarbu wiary św.?

W tem — polskie pisma górnośląskie piszą — jak grom z pogodnego nieba spadła wieść, że książę kardynał Kopp zakazał księżom udziału w zapowiedzianym wiecu.

Wobec takiego zakazu wiec oczywiście na razie odwołano, komitet księży się rozwiązał.

Bezpośrednim wynikiem zakazu wieca jest — według słów „Górnoślązaka“ — „głęboki żal i niezmierny ból“, jaki wszystek lud polski i katolicki w dyecezyi wrocławskiej, jaki cały naród odczuwa z powodu tego zakazu do ks. kard. Koppa.

Jest to istotnie prawda. Zakaz kardynała Koppa tem mniej jest zrozumiałym, im bliżej się rozglądamy w obecnem położeniu.

Ze stanowiska kościelnego — ks. kard. Kopp przeciwko wiecowi nic mieć nie mógł, chociażby nawet przewidywał, że księża uchwalą: *domagać* się nauki religii dla dzieci polskich w języku *ojczystym*. Kościół nie tylko na tę naukę pozwala, ale domaga się jej sam na soborach, zaleca ją dla starszych — im więcej dla dzieci!

Ze stanowiska politycznego — zakaz ks. kard. Koppa jest krokiem wprost nierozumnym. Jeżeli — jak politycy pokroju ks. kard. Koppa głoszą—na prawdę chodzi o to, ażeby przeciwieństwa między powaśnioną górnośląską ludnością wyrównać, by je złagodzić; skądże więc ten zakaz? Czyżby wiec nie mógł był podziałać łagodząco i to dla ks. kard. Koppa na tak ważnem polu, bo na polu religijnem?!

Inaczej widocznie ks. kard. Kopp głosi, inaczej mówi, inaczej czyni.

Zakaz ks. kard. Koppa da się wytłómaczyć jedynie względem — na rząd pruski. Szkoda tylko, że ks. kard. Kopp nie widzi całego zła tej polityki, nie widzi, że jest w ręku rządu pruskiego, jej narzędziem, niestety ze szkodą dla religijnych uczuć ludu polskiego na G. Śląsku.

Lud polski na G. Śląsku nie żądałby, choćby miał prawo po temu, ażeby z otwartą przyłbicą ks. kard. Kopp po jego stronie stanął — ale lud górnośląski polski ma prawo głośnej skargi na to, że ks. kard. Kopp jako zwierzchnik duchowieństwa górnośląskiego — mię-

dzy tem duchowieństwem a ludem katolickim stawia — względy na rząd pruski i budzi wzajemną niechęć i niezgodę.

Lud górnośląski zakaz ten ks. kard. Koppa dłużej popamięta, aniżeli słynny proces przeciwko — „Górnoślązakowi“.

---

# Otwarcie
## nowego zakładu sierot i ochronki
### we Wronkach.

Z nad Warty.

Dnia 15-go października odbyło się uroczyste otwarcie nowego zakładu sierot i ochronki we *Wronkach*.

Wzmiankę krótką o uroczystości tej podały już niektóre z pism naszych, nic zwracając atoli uwagi na doniosłe samego zakładu znaczenie.

Mamy to sobie za zaszczyt, że od jednego z uczestników uroczystości tej odbieramy jej opis, oraz tekst mowy fundatora, ks. proboszcza Grabowskiego z Solca. Mowa ta zawiera krótki zarys starań, trudów i poświęcenia czcigodnego fundatora, oraz rzut oka na znaczenie zakładu sierot dla Wronek i okolicy, oraz na znaczenie takich zakładów wogóle.

Opis ten podajemy w całej rozciągłości.

Już o godzinie jedenastej zgromadzili się licznie parafianie wraz z zastępem dzieci przed domem zakładu a o godzinie 12-tej zajechał tamże Najprzewielebniejszy ksiądz Biskup Likowski wraz z księdzem kapelanem. Przed przystrojoną w zieleń bramą zakładu powitał najprzód Najprzewielebniejszego księdza Biskupa miejscowy proboszcz, wyrażając Mu swą radość z Jego przybycia i z otwarcia tak upragnionego od lat wielu przytułku dla ubogiej dziatwy. Troje dziewcząteк w białe szaty przybranych podawały następnie księdzu Biskupowi po kolei sól wraz z chlebem, bukiet kwiatów i klucze zakładu, witając Go równocześnie odnośnym czterowierszem:

*Najprzewielebniejszy księże Biskupie!*
*W ubogich sierot gdy wstępujesz progi,*
*Chlebem i solą przyjmujemć w gościnę*
*Zwyczajem ojców a Ty Ojcze drogi,*
*Błogosław za to mnie Twoją dziecinę.*

*Bukiecik kwiatów niesiemy Ci w darze,*
*Bo Ty roztaczasz woń Twej pobożności,*
*Uproś nam łaskę, by serc naszych ołtarze*
*Woń cnoty słały w niebios wysokości.*

*Kluczami niebios otwierasz podwoje,*
*Więc chatki sierot klucze Ci składamy,*
*Otwórz ją, Ojcze, wnijdą dziatki Twoje,*
*W łzach radości sercem Cię witamy!*

Odprowadzono potem księdza Biskupa w otoczeniu ośmiu kapłanów i kilku z zaproszonych gości z miasta i okolicy procesyonalnie na platformę przed główne drzwi zakładu, gdzie fundator przemówił do Niego i do parafian w te słowa:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Najprzewielebniejszy księże Biskupie, dostojni goście, ukochani parafianie!

Witam Cię, Najprzewielebniejszy księże Biskupie, na tem tu niezwykłem miejscu w imieniu mojem, Dozoru kościelnego, parafii Wronieckiej i wszystkich zgromadzonych tutaj na Twoje przyjęcie, a witam nie tylko słowami ust, lecz i słowami serca. Przybyłeś do nas tak chętnie jak wszędzie, gdzie Cię zapragną i potrzebują ukochane owieczki i nigdzie nie braknie czy to po miasteczkach, czy siołach Twej wspaniałej Apostolskiej postaci, a po nad nią wspaniałomyślniejszego serca i błogosławieństwa Twojego.

Stanąłeś tu na progu domu, który przybyłeś otworzyć i poświęcić, na którym widnieje imię współfundatorki jego, ś. p. mej matki Jadwigi, która, ubogą będąc, zdobyła to miejsce potem i znojem swej pracy, a ja, spełniając jej i moje życzenie, zaparciem siebie samego i wyrzeczeniem się wszelkich wygód i dozwolonych przyjemności tego życia, wzniosłem na tem miejscu ten tu chrześciańskiego miłosierdzia przybytek. Lecz nie moja w tem zasługa, bom ja był tylko niegodnem narzędziem łaski Ducha świętego, która mi natchnęła tę myśl niemal od pół wieku, a której parcie tak było silne, że jej się oprzeć nie mogłem, iść za nią musiałem. Myśl tę rozpocząłem w czyn wprowadzać już w roku 1882, a po kilkoletniej przerwie z powodu niedostatecznych funduszy podjąłem jej urzeczywistnienie na nowo w roku 1891, a więc od lat piętnastu.

Tak potężną łaską Bożą wsparty przezwyciężyłem wszelkie z różnych stron stawiane mi bezustannie, nawet niepodobne do przezwyciężenia przeszkody i utrapienia — oto otrzymałem dziś drugą łaskę od Boga, żem się doczekał spełnienia najgorętszego pragnienia mego, tej pewnie jedynej w mem życiu jaśniejszej chwili, to jest owocu spełnionej woli Bożej, otwarcia w dniu dzisiejszym zakładu.

W przebiegu i przyjściu do skutku tego dzieła i Ty, Najprzewielebniejszy księże Biskupie, niepośledni brałeś udział, przechodziłeś bowiem wraz ze mną jako Zwierzchnik duchowny wszystkie przeciwności, łagodziłeś ich ostrze, wspierałeś mnie Twą pomocą, bez której nie byłaby jeszcze nadeszła dzisiejsza godzina, nad której opóźnianiem bolałem niezmiernie. Niech Ci będzie za to cześć i gorąca podzięka mego wdzięcznego i pokornego serca.

Lecz nie dla mnie jedynie wybiła ta dzisiejsza godzina radosna — w wyższym jeszcze stopniu jest ona błogą dla was, najmilsi mieszkańcy, nie tylko parafii Wronieckiej, lecz także i dalszych okolic.

„Dopuśćcie dziateczkom przychodzić do mnie, a nie zabraniajcie im, albowiem takowych jest królestwo niebieskie.“ Otóż hasło, oto kamień węgielny tego tu zakładu. Dziateczki przywołuje do siebie Zbawiciel, przyjmuje w błogosławione Swe ręce, na łono Swe sadza, do serca je tuli. Czemu? bo one niewinne, a On je dla tego miłuje i chce Swej miłości tchnieniem ochronić je od zepsucia, od grzechu, od zguby duszy i ciała. — Parafianie kochani, toć to ten zakład ma właśnie wykonywać przykład i wolę Boskiego Mistrza naszego, w Jego imieniu i dla Niego przyjmować tu niewiniątka ubogie, tulić pod macierzyńskie skrzydły, bronić je jako kokosz kurczęta swoje przed napadami wrogów, aby ratować ginące od zguby duszy i od nędzy ciała, od dostania się w sidła czychające na wydarcie im nawet wiary katolickiej ojców na przymusowem wychowaniu w niekatolickich domach. A ileż to ich ginie marnie corocznie i na zawsze.

Czyż bowiem nie warto się cieszyć, jeśli która parafia, jak Wronki i okolica mieć będą odtąd to szczęście posiadania takiego błogosławionego przytułku dla swoich sierot, taki sposób ratowania dla Jezusa dusz, tak przezeń umiłowanych istot niewinnych. A wiecie wy, co to znaczy uratować duszę? Jeśli nie, to spytajcie świętego męża, który wołał z upragnieniem: „Daj mi dusze, a resztę weźmij sobie.“ O gdybyś uratował dla Jezusa choć tylko duszę jednę, mógłbyś o własną być duszę spokojny.

I czyż mała ztąd otwiera się wam w tym zakładzie zasługa? „Coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, toście mnie uczynili“, rzecze do miłosiernych na ostatecznym sądzie Zbawiciel. Samemu więc Jezusowi będziecie czynić przysługę tem, co uczyniliście dla sierot ubogich a błogosławiony człowiek, którego dłużnikiem będzie Jezus, bo nader sowitej spodziewać się może zapłaty. Tak więc zakład sierot jest dla was zasług skarbnicą. Nie lekceważcie przeto sobie szczęścia posiadania sierot ubogich przystani, jak ludzie małej wiary, co się cieszą tylko temu, co im natychmiast widoczne zyski i pieniądze do kieszeni wpycha, co nie wierzą w

wszechmocną Bożą Opatrzność, która i kubka wody podanego pragnącemu z miłości Boga nie zostawia bez nagrody.

Jeszcze jedno świadczyć wam będzie ten zakład dobrodziejstwo za pomocą ochronki w nim się znajdującej. Błogosławiony to zakład taka ochronka, o czem się przekonacie sami dopiero z doświadczenia własnego. Iluż to mieszka rodziców, którzy zmuszeni pracą rąk swoich zarabiać sobie i dziatkom na utrzymanie życia, a nie mogą z powodu swych zajęć udzielać im tyle opieki, ile jej one potrzebują na każdym kroku i w każdej chwili — a nie mogą mieć sług, aby ich w tem zastąpiły. Wielką przeto są dla nich dzieci zwłaszcza małe przeszkodą i ciężarem. A ileż to niebezpieczeństw, kalectw a nawet utraty życia powoduje niemożliwość dostatecznej opieki nad dziećmi. Jakże często czytamy o przypadkach, że dzieci bawiąc się zapałkami lub ogniem, spaliły się na węgiel a nawet były przyczyną spalenia się całej rodziców chudoby.

A nadto, co jeszcze ważniejsza, czyż ubożsi rodzice, choćby najchętniej chcieli, mogą dzieci swoje do tyla pouczać o Bogu, o prawdach wiary naszej, dawać im tyle karmu duszy i umysłu, ile tego łaknie ciekawe i wrażliwe dziecięcia serduszko — czyż mogą im dać ogładę wychowania tak ważną i potrzebną w późniejszem życiu? Czego więc ubodzy i nieumiejętni rodzice dać swoim dziatkom nie mogą, to im daje ochronka. I czyż to nie pomoc i nie ulga wielka?

I nie dość na tem, bo gdy dziecko wasze zasmakuje w ochronce i wy poznacie błogosławione jej skutki, doznawać będziecie pociechy, jakiej ja doznałem, gdym przed trzema laty zwiedzał największy w naszej archidyecezyi zakład sierot w Gnieźnie, aby sobie wziąść zeń wzór do wybudowania i urządzenia tutejszego zakładu. Wprowadzono mnie też do ochronki, a gdym zobaczył te maleństwa od trzeciego do siódmego roku życia w ławeczkach umiejętnie i śmiało odpowiadające na zapytania nauczycielki, gdym patrzał na ich rozradowane i szczęściem promieniejące twarzyczki a potem na ich ćwiczenia gimnastyczne i wsłuchiwał się w ich pobożne lub wesołe śpiewy, taka radość i rozrzewnienie opanowało mą duszę, że jeszcze długo po wyjściu z ochronki słyszałem jej głos: jakaż to rozkosz przebywać z temi umiłowanemi od Boga. I wy, najmilsi, tak się radować będziecie i nie będzie już nikogo wśród was, ktoby sobie lekceważył ochronkę i mówił: alboż ja tam będę dziecko moje posełał, co mi to potem, daleko mieszkam, na nic mi się nie przyda. Nie słuchajcie, ukochani moi, tych, co wam tak prawią — oj bardzo przyda wam się ochronka, bo tam korzystać może wiele dziecko nawet nieubogich i wykształconych rodziców — a choćby jeden lub drugi nie mógł lub nie chciał z niej korzystać, czyż dla tego nie ma się cieszyć, że z tego dobra korzystają inni i dla tego nie wspierać zakładu, bo przecież żaden człowiek nie jest tylko dla siebie samego stworzony, lecz żyć winien także dla Boga i bliźnich według Bożego przykazu.

Nie bójcie się też o kwestyą utrzymania zakładu, nie będzie on dla was ciężarem, lecz błogosławieństwem. Zakład sierot w Gnieźnie utrzymuje oprócz ochronki około 150 sierot rocznie a nie ma nawet tyle funduszu własnego stałego ani roli, ile ma zakład we Wronkach, który początkowo zaledwie 30 sierot utrzymywać będzie. Zkądże więc bierze zakład w Gnieźnie tak wielką na utrzymanie swoje brakującą resztę? Oto dostarczają jej skarbce z ofiarnych serc tamtejszych parafian i tamtejszych okolic, bo tam pamiętają na obietnicę Jezusa: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią“. Mam więc w Bogu niepłonną nadzieję, że i wasze serca ofiarnością dla zakładu tutejszego się rozszerzą a dłonie do ofiar dobrowolnych się otworzą, za co sprzątać będziecie od Boga skarby, których, jak mówi Zbawiciel „ani rdza nie zje, ani mól zepsuje, ani złodziej nie skradnie“, a w dodatku i pomyślność doczesną według obietnicy Bożej: „szukajcie najprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego a reszta przydaną wam będzie“.

W końcu dodam parę słów o działalności zakładu, o warunkach przyjęcia do niego dzieci i o źródłach jego utrzymania.

Według statutu celem zakładu jest: przygarnianie do siebie i wychowanie ubogich sierot katolickich oraz dzieci zaniedbanych, które, chociaż mają ojca lub matkę, z powodu bezbożnego życia i złych przykładów swych rodziców są narażone na zepsucie, zgubę, utratę wiary, nędzę lub żebractwo.

Przyjmują się do zakładu sierot dzieci od trzeciego roku począwszy i utrzymują się tamże aż do dokończonego 14 roku życia, poczem oddawane bywają na naukę rzemiosła, gospodarstwa, na służbę, kształcenie do różnych zawodów i na tem polega część pierwsza celu zakładu.

Drugą częścią celu zakładu jest ochronka, przeznaczona na opiekę nad dziećmi aż do skończonego szóstego roku życia dziecka, do odpowiedniego ich wiekowi pouczania i do zabawy, słowem do rozwijania sił duszy i ciała. Dzieci te przychodzić będą do ochronki przed i po południu w godzinach, które bliżej oznaczone będą im przez nauczycielkę umyślnie dla nich ustanowioną i tu już obecną i przez plan w ochronce na ścianie umieszczony.

---

# Co i jak czytać?

Rozkwit i bogactwo naszego piśmiennictwa, wielka obfitość samoistnych, oryginalnych i wybitnych talentów napełniając nas dumą i radością, pobudzają zarazem i mniej wykształconego do zapoznania się choćby tylko z belletrystyką *).

Ubolewać należy, że społeczeństwo nasze, nawet warstwy więcej wykształcone, za mało czyta i karmi się z upodobaniem utworami podrzędnej wartości, lub lichemi tłomaczeniami utworów obcych.

Grzeszą pod tym względem przeważnie panie nasze, często dziwnie niewybredne w wyborze książki do czytania.

Mówiąc o wybitniejszych talentach nie możemy pominąć *Józefa Weyssenhofa*. Utwory jego mało znane szerszej publiczności, zapewne z tej przyczyny, że nie są sensacyjnemi romansami, lecz głęboko pomyślanemi studyami tej warstwy społeczeństwa, do której autor urodzeniem należy t. j. arystokracyi. Nie jako obojętny obserwator, lecz jako członek tej uprzywilejowanej i przodującej niegdyś kasty narodu, autor z właściwą mu bystrością i finezyą krytykuje odwieczne jej słabości i błędy, ubolewa nad bezużytecznością i moralnem niedołęstwem tego odłamu naszej arystokracyi, która ani zamożności swej i szerokiego wpływu, ani swej wysokiej umysłowej kultury nie zużywa dla dobra kraju i społeczeństwa, lecz trwoni czas, zdrowie i pieniądze na bezmyślnych rozrywkach, wyrafinowanych zarówno jak upadlających...

Potrzeba talentu niepospolitej miary, aby tyle myśli trafnych i głębokich potrafić ująć w nadobną formę powieści i pouczając nieustannie czytelnika, ani na chwilę go nie nużyć — żeby zawsze utrzymać się w klassycznym e-

*) Belletrystyka — dział piśmiennictwa obejmujący powieści, nowele, komedye, ulotne wiersze, słowem utwory lżejszej treści, przystępne dla ogółu mniej naukowo wykształconego.

pickim spokoju i nie wpaść w ton namiętnej polemiki.

W układzie i stylu powieści Weyssenhofa przebija zawsze ten dobry smak, doskonała harmonia i równowaga, cechujące wykwintnego pisarza i trzymające na uwięzi zainteresowanie czytelnika — od początku do końca.

Szanowne Panie, psujące sobie gust duszną atmosferą romansideł francuskich lub filistersko nudnemi płodami niemieckiemi — czytajcie Weyssenhofa!

Do najlepszych utworów Weyssenhofa należą: Sprawa Dołęgi i Żywot i myśli pana Zygmunta Podfilipskiego.

## O wychowaniu religijnem i narodowem.

(Głos w sprawie strajku szkolnego z obczyzny.)

**Altenderne,** w październiku 1906.

Kiedy się tak czyta w gazetach o tych strajkach szkolnych w naszych stronach, jak to ta nasza dziatwa mężnie i wytrwale przy swojem obstaje, jak to ona musi te wszystkie duchowe i cielesne cierpienia dla polskości znosić, a jak to ten bezwzględny hakatyzm systematycznie dąży do tego, ażeby tę walczącą dziatwę przemódz i zgermanizować, wtedy to mimowoli przychodzi człowiekowi na usta pytanie: co się to jeszcze z nami stanie?

I dumając nad tem pytaniem, trzeba sobie odpowiedzieć tak: co się z nami stanie, to *od nas samych* zależeć będzie. Jeżeli zawsze i wszędzie będziemy się starali wychowywać dziatwę naszą w duchu na wskroś polskim, wtenczas wszystkie zachcianki rządowych jak i nierządowych germanizatorów w niwecz się obrócą, wtenczas będzie dobrą przyszłość nasza. Jeżeli atoli będziemy tylko biadali, narzekali i zawsze na coś, na jakąś tam „ulgę“ się oglądali, a nie zabierzemy się wszyscy do zgodnej pracy nad uświadomieniem się wzajemnem, wtenczas kiepsko będzie z nami w przyszłości, wtenczas z biegiem czasu nie pozostanie po nas nic więcej, jak tylko niemiłe wspomnienie.

Bo skutki tej systematycznej germanizacyi z jednej, a naszej niedołężności z drugiej strony, możemy my tutaj na obczyźnie jak najlepiej, jak najdokładniej widzieć. My możemy tutaj widzieć, jak dziatwa nasza pobierająca naukę religii św. w języku niemieckim ginie dla nas, dla polskości najprzód a dla wiary katolickiej popóźniej. N. p. taki młodzieniec, nauczywszy się w szkole jako tako po niemiecku pacierza i trochę z katechizmu, nie będzie się tutaj czuł zobowiązanym modlić i spowiadać się po polsku, a już tem mniej do polskiego towarzystwa należeć. Ale za to będzie zawsze w kościele razem z Niemcami po niemiecku pacierz mówił, będzie razem z nimi po niemiecku śpiewał, on i po niemiecku będzie się spowiadał, a więc choć jeszcze katolikiem jako takim jest, ale już nie Polakiem, dla polskości już taki młodzieniec stracony.

A dla katolicyzmu ginie on, kiedy o żoneczce zacznie myśleć. Wtenczas nie myśli on o „Kasiach“ „Basiach“, ale za to kręcą mu się po głowie „Klary“ i „Laury“. Jedną z nich bierze sobie za towarzyszkę życia i nie pyta się czy ona katoliczka czy ewangieliczka. Gdy żona jest ewangieliczką, były Polaczek na pewno siebie i swą wiarę na zawsze jej zaprzedał.

A więc, jeżeli chcemy się ostać jako Polacy i katolicy także, to powinniśmy dziatwę naszą wychowywać szczerze po polsku, powinniśmy już za młodu dziatwie naszej wpajać: że Polak tylko po polsku czuć, myśleć, mówić i do Boga modlić się może; dalej powinniśmy sobie i dziatwie naszej wpajać to, że nie ten dobrym Polakiem, kto często do kościoła chodzi a w kościele się nie po polsku modli (taki człowiek jest najwyżej dobrym katolikiem a nie Polakiem), że dobry Polak powinien a nawet i musi zawsze i wszędzie w obronie swego języka, swej narodowości i swej Ojczyzny mężnie i otwarcie występować.

Więc też cześć i sława rodzicom tym, którzy wpajają w serca swych dzieci miłość do ojczystego języka, a wstyd i hańba tym, którzy dla ubocznych względów dziatwę swą już za młodu przyzwyczajają do germanizacyi. Tacy rodzice własne dzieci rzucają w przepaść germańską, nie pomni na to, że już tutaj na obczyźnie całe setki i tysiące dziatwy giną dla sprawy naszej. Ci rodzice nie godni są imienia Polaków.

Że tutaj dużo dziatwy ginie (co też nie powinno się zdarzać) to jeszcze można wytłómaczyć. Zważyć trzeba, w jak ciężkich warunkach dziatwa nasza tutaj się wychowuje. W kraju jednak na własnych śmieciach pozwolić się germanizować dzieciom swoim, to byłoby nie do wybaczenia, nie do wyrozumienia. Mogłoby się to było zdarzyć w wiekach dawniejszych, gdy nie było jeszcze żadnej oświaty wśród ludzi, gdzie lud nie miał żadnego znaczenia; dziś to powinno być niepodobnem — niemożliwem.

Dziś może każdy, byleby chciał, mieć tyle oświaty i świadomości, żeby mógł się skutecznie przed każdą nawałnością obronić i ją odeprzeć.

Więc też powinniśmy czy to tutaj na obczyźnie, czy w kraju garnąć się do oświaty, do czytania gazet polskich, które się starają o to, ażeby nas wyrobić na ludzi świadomych swego celu, które nas zachęcają do czynów godnych i do wytrwania we wszystkiem co tylko podejmujemy. — Nie wmawiajmy w siebie, że my już oświaty mamy dosyć, bo brak jej uwidocznia się u nas na każdem miejscu.

Kończę te kilka moich słów z serdecznem pozdrowieniem do Szanownej Redakcyi i wszystkich rodaków i z zachętą do wytrwania w najsroższych przeciwnościach.

*Polak.*

## Na co mamy publiczne czytelnie?

Publiczne biblioteki należą w dzisiejszych czasach do instytucyi, bez jakich społeczeństwo już się obyć nie może. Człowiek uczy się bowiem w szkole, nabywa wprawy życiowej przez doświadczenie, a rozprzestrzenia zakres swej wiedzy przez czytanie.

Szkoła choćby i najlepsza daje tylko początki i podstawę, na jakiej człowiek dalej może budować. Doświadczenie zaś jest istotnie najlepszym nauczycielem, ale mało któremu człowiekowi starczy życia na tyle, aby doświadczenie, nabywane powoli przez długie lata, mógł wyzyskać do swoich celów i potrzeb. Pozostaje więc książka, która uzupełnia i szkołę i praktykę życiową.

Ogół naszego społeczeństwa jest biednym. Pojedyncze jednostki nie posiadają tyle nad konieczną potrzebę, aby z własnych pieniędzy książki zakupywać i braki stopniowo uzupełniać.

Czemu nie podoła jednostka, łatwo może dokonać ogół zbiorową pracą i zbiorowemi siłami przez zakładanie i utrzymywanie publicznych bibliotek i czytelni.

Czytelnia nie jest przeznaczona ani dla ludzi pewnego zawodu, ani pewnej warstwy społeczeństwa, lecz wogóle dla wszystkich członków tej jednej wielkiej naszej rodziny, którą nazywamy narodem. W bibliotekach znajdują się książki, z których czerpać może wiedzę rzemieślnik, rólnik, robotnik i uczony i w ogóle każdy, który się do tej wielkiej rodziny zalicza i chce być jej użytecznym członkiem.

Długoletnie doświadczenia wykaza-

ły atoli jeszcze, iż nauka nie jest jedynym celem bibliotek, bo człowiek, który się utrudzi mozolną, bądź to fizyczną, bądź to umysłową pracą, potrzebuje w zamian za zużycie swej siły takiego pokarmu, który by jego nadwątloną wolę pobudził do nowej czynności przez zupełny odpoczynek, przez chwilowe zapomnienie o bólach, jakich życie nikomu nie szczędzi.

Ztąd pochodzi, że nietylko człowiek mniej oświecony, ale nawet i wykształceni ludzie często biorą do ręki książkę, której treść jedynie rozwesela i troski rozprasza. Objaw to zupełnie naturalny, że jak sen dla ciała, tak rozrywka dla duszy jest konieczną potrzebą.

Książka więc nietylko nas kształci, ale przywraca nadto jeszcze władzę ciała i ducha. — Żaden naród nie powinien zapominać, że wiedza to potęga, a pogoda umysłu to siła, której nic zmogą żadne przeciwności.

W czytelniach naszych ludowych czerpać nam więc tę potęgę i tę siłę, a z czasem lepiej będzie na świecie; jeśli nie nam już może, to przyszłym pokoleniom napewno! — Czytajcie więc, korzystajcie z czytelni ludowych!

# Zebrania i wiece.

W niedzielę dnia 11-go listopada b. r. odbędą się następujące wiece:

**w Koźminie:**

o godz. 4-tej po poł.; wiec relacyjny na sali hotelu du Nord.

**w Neuss pod Dysseldorfem:**

o godz, 3 po poł. wiec celem założenia towarzystwa polskiego — w lokalu p. A. Klopenberga — Krefelderstr. 13.

**w Raszkowie:**

wiec „Straży"; o godz. 3-ciej po poł. na sali p. Szymaniaka.

**w Berlinie:**

wielki wiec celem założenia polskiego związku zawodowego na Berlin i okolicę; po poł. o godz. 2-giej na wielkiej sali Kellera — Koppenstr. 29.

Na niedzielę 18-go listopada zapowiada się cały szereg wieców, a mianowicie w Swarzędzu, Obornikach, Oporowie (dla Wronek i Obrzycka), na Winiarach, Wildzie i Dębcu pod Poznaniem.

# Wiadomości.

* **Proces „Pracy"** odbył się dn. 3 b. m. przed drugą izbą karną w Poznaniu. Oskarżenie zarzucało redaktorowi naszemu p. Switale, że w artykule z nr. 34 „co robić" nawoływać miał do nieposłuszeństwa względem rozporządzeń władz. Ponieważ oskarżenie to jednakże nie dość było ścisłe i jasne, zażądał obrońca oskarżonego *p. mec. Drwęski* — odroczenia rozprawy. Po dwukrotnej naradzie sąd do wniosku tego się przychylił.

Tak samo odroczył sąd rozprawę przeciwko p. *Winc. Szpotańskiemu*, redaktorowi „Gońca Wielkop." oskarżonemu o to samo przestępstwo. Pana Sz. bronił poseł mec. *Dziembowski.*

* **Sprostowanie.** Tuż przed zamknięciem redakcyi odbieramy następujące pismo:

*Poznań*, dn. 8. 11. 1906.

W artykule „Pracy" zaczepiła Szanowna Redakcya i moją rodzinę i p. Dr. Repnikowskiego najniesłuszniej, że Sułkowo sprzedaliśmy kolonizacyi, proszę zatem w mojem i mej rodziny imieniu o sprostowanie krzywdzącego i z prawdą niezgodnego twierdzenia. Sułkowa nie sprzedaliśmy kolonizacyi, tylko Polakowi panu Chrzanowskiemu, a że ten półtora roku później sprzedał majątek ten kolonizacyi, nie nasza wina, a tem mniej p. Dr. Rzepnikowskiego, który kilka lat przed sprzedażą Sułkowa przestał być naszym opiekunem. Sumienną, gorliwą i sprężystą pracę p. Dr. Rzepnikowskiego, jako długoletniego naszego opiekuna, najlepiej ocenić umiemy i pozostaniemy mu za to wdzięczni do śmierci.

*Z Wierzbickich Kawczyńska.*

* **Czy to denuncyacya?** Pisma niemieckie podają za rosyjskim, wrogim Polakom dziennikiem „Nowoje Wremia" następującą odezwę: Polacy wszystkich trzech zaborów! Łączcie się celem odbudowania niepodległości ojczyzny! Korzystajcie ze sposobności, jaką nadarza wam rewolucya rosyjska, trzymająca pobitą przez Japonia Rosyą w szachu.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że ta odezwa, to fabrykat wrogów naszych, prawdopodobnie rosyjskich chuliganów, lansowana przez Petersburg do Berlina i t. d. Hakatystom niemieckim oczywiście odezwa ta bardzo na rękę. Jakaż to okazya do denuncyacyi n. p. choćby — Sokołów. „Oberschl. Anz." n. p. pisze, że Sokoli są zorganizowani zupełnie na sposób *wojskowy* i liczą — 100 tysiecy zdatnych do broni młodych ludzi. Biedni ci Sokoli, procesy ich gniotą ze wszech stron, jest ich parę secin zaledwie, a tu hakatyści na gwałt każą im Polskę odbudować. — Ale z hakatystami trudna rada, a przedewszystkiem trudna dyskusya. Niech sobie wierzą w to co piszą — a my swoje róbmy.

* **O czytaniu!** Dobra książka, to jak dobry człowiek, który nas często odwiedza i opowiada o swoich doświadczeniach, troskach i nadziejach. Dobra książka uczy nas i czyni dobrymi.

I zaiste, trudno w dzisiejszych czasach postępu wyobrazić sobie człowieka, którby choć przez kilka dni obył się bez książek, albo bez gazety. Nawet i ten, kto wiecznie jest zajęty mozolną pracą około zdobycia powszedniego chleba, pragnie jednak w chwili odpoczynku zająć umysł swój czytaniem. A mimo to jednak tak wiele jest jednostek i rodzin, które prócz najtańszej gazety niczego innego nie czytują, choć dobra książka najlepiej potrafi zastąpić towarzystwo ludzi, bez którego i najcichszy i najmałomówniejszy człowiek przez dłuższy czas nie może się obyć.

Książka przenosi nas myślą do najodleglejszych okolic i ułatwia nam rozpoznanie pojęć, uczuć i zasad najbliższego otoczenia i obcych narodów.

Książka nas uczy i uszlachetnia, podnosi nas moralnie, rozwesela i wypogadza czoło, na którem ciężka walka o byt zmarszczkami głęboko wypisała swoje ślady.

Pociechą i najlepszym przyjacielem jest człowiekowi, który wskutek choroby, albo z innych jakich przyczyn, jest zmuszonym pędzić życie samotnie. W tym przypadku jest dobra książka nie jako aniołem, bo jedynym, a więc gorąco upragnionym towarzyszem niedoli.

Dobra książka to skarb największy.

A zatem popierajcie instytucyę, gdzie każdy człowiek może nabyć dobrą książkę za drobną ofiarę, albo nawet zupełnie bezpłatnie.

*Popierajcie Czytelnie Ludowe!*

*Wszelkie korespondencye w sprawie towarzystwa naszego, zakładania bibliotek i t. d., prosimy wysyłać wprost do biura naszego pod adresem:*

*Czytelnia Ludowa Poznań (Posen Bäckerstr. 10).*

*Adres skarbnika: Dr. Kapuściński Poznań (Posen).*

*Towarzystwo Czytelni Ludowych.*

* **Handel ziemią.** Dzierzno — w Prusach Zach. — absolutnie uratowane. Przyjął Związek Ziemian z Poznania w administracyą pod dogodnemi ekonomicznemi warunkami. Oprócz aktu notaryalnego nastąpiła tradycya. Powiat Brodnicki tak się obawiał, aby kolonizacya się nie zagnieździła po za Brodnicą. To też szczere uznanie oddać należy zabiegom starosty „Straży" p. B. Bardzkiemu z Wichulca, że ten kawał ziemi uratowany został. Pan Bardzki bezinteresowną radą swoją uratował w powiecie 10 000 mórg większej posiadłości — oprócz 700 mórg posiadłości włościańskich. Dzierzno ma 1600 mórg ziemi I, II i III klasy — całość jest wdzięczna i bardzo pokupna. Potrzeba tam umiejętnej i żelaznej ręki pod względem specyalnej administracyi, którą zapewne Związek Ziemian zaprowadzi.

* **W sprawie wieców** *zakazanych albo rozwiązanych* należy podawać skargi przeciwko odnośnym władzom. Skargę podać może, jeżeli wiec został *zakazany*, — zwołujący, jeżeli został rozwiązany, — przewodniczący wieca albo zwołujący. W razie rozwiązania wieca, należy podać te słowa, za które albo podczas wypowiedzenia których wiec rozwiązany został.

Uwagę tę robimy dla tego, ponieważ dowiadujemy się, że skarg takich z powodu dotąd rozwiązanych lub zakazanych wieców mało albo wcale się nie wnosi. Pamiętajmy o tem, że jeżeli my nie umiemy albo nie chcemy ubiegać się o nasze prawa, to rząd w takim razie nie potrzebuje ich — szanować.

* **Z miasta:** Koło Śpiewackie Polskie w Poznaniu urządza w niedzielę dnia 11-go listopada r. b. wielki koncert na sali terasowej Lamberta z bardzo obfitym programem i występami

solowemi. Obfity program koncertu zaciekawi niewątpliwie szersze koła publiczności, gdyż zapowiada śpiew na chóry męskie naszego wielkopolskiego kompozytora — jubilata p. Dembińskiego „Pieśń o Ziemi naszej", która się składa z pięciu części. — Jest to jeden z najtrudniejszych i najpiękniejszych utworów polskich. — Spodziewać się należy, iż publiczność sympatyzująca z Kołem śpiewackiem, podąży gromadnie na ten koncert i zachęci w ten sposób drużynę śpiewaczą do pielęgnowania pieśni. Ceny miejsc są następujące: loża i pierwsze dwa rzędy krzeseł 2 mk., I miejsce 1,50 mk., II miejsce 1 mk., miejsce stojące 50 fen. Biletów nabyć można u pp. 1) Rothera, skład cygar, ul. Wilhelmowska, narożnik ul. św. Marcina, 2) Piotrowskiego, skład kolonialny, ul. Szkólna nr. 19. 3) Koszewskiego, skład cygar, ul. Szeroka, 4) Tomczyńskiego, skład garderoby, ul. Szeroka nr. 8., 5) Maciejewskiego, skład towarów mezkich, ul. Nowa, 6) Tundaka, skład towarów mezkich, ul. Rycerska.

* **Konkurs.** Celem zachęty szerokich warstw ludowych do składania w naszych bankach ludowych swych oszczędności, zamierza Patronat Związku Spółek zarobkowych wydrukować *pisemko ulotne* objętości czterech stron wielkiej ósemki, które poszczególne Spółki w swej okolicy z własnym podpisem będą mogły rozszerzać.

Zapraszamy tedy wszystkich przyjaciół oszczędności do napisania *tekstu do odezwy* o wyżej wymienionych rozmiarach.

Autorowi odezwy najlepszej przyznajemy nagrodę w wysokości *stu marek;* autor drugiej z rzędu odezwy najdoskonalszej otrzyma nagrodę w wysokości *50 marek;* w zamian za to Związek zyskuje prawo własności i przedruku obu odezw.

Odezwy należy opatrzyć godłem, które powinno się znajdować także na zapieczętowanym liście zawierającym nazwisko i adres autora.

Konkurs zamykamy z dniem 1-go stycznia 1907 r.

Nazwiska autorów, którym Patronat przyzna nagrody, ogłosi się w *„Poradniku dla Spółek."*

Listy uprasza się nadesłać pod adresem podpisanego.

*Mogilno, w* październiku 1906.

*Ks. Wawrzyniak*, Patron.

* **W Mosinie** miał się ub. niedzieli odbyć wiec relacyjny. Przybyli nań posłowie dr. Alfred *Chłapowski* z Bonikowa i ks. prał. *Stychel* z Poznania. Niestety godzinę przed wiecem policya odbycia wieca zakazała. Sunące na wiec gromadki ludu zastały drzwi sali wiecowej zamknięte, dowiadując się o zakazie. W okolicy sali krążyło 5 czy 6 żandarmów, mających nakaz oczyścić z tłumów plac. Na nieszczęście ku gromadkom wiecowników schodziły się gromadki nabożnych opuszczających kościół. Oczywiście takie przepychanie się jednego tłumu przez drugi utrudniało rozejście się. Żandarmi dobyli pałaszy — po tłumie przeszedł pomruk niezadowolenia. Żandarmi stracili głowę i nie pozwolili ani posłowi Chłapowskiemu ani ks. Wiśniewskiemu z okolicy przemówić parę słów dla uspokojenia ludu.

Pisma niemieckie zrobiły z tego zajścia wielką rewolucyą, piszą o wielkiej ilości aresztowanych — a „Berl. Tagbl." dowiaduje się nawet, że p. dr. Alfr. Chłapowskiemu wytoczono proces o — naruszenie spokoju.

Nie — to chyba drwiny z prostego rozumu ludzkiego. Pewnie — więcej takich żandarmów jak w Mosinie, a zaburzenia wybuchną, odpowiedzialnymi jednakże za nie będą — tylko żandarmi.

* **Obwieszczenie:** „Od Zarządu Towarzystwa Pszczelniczego w Sadach odbieramy następujące pismo: „Wobec wciąż wzmagającego się naśladownictwa miodu prawdziwego, dla którego wartość prawdziwa i ceny pierwszego ucierpiały, my niżej podpisani reprezentanci kółka pszczelniczego w Sadach energicznie protestujemy przeciw cenom niżej 1 marki za miód prawdziwy, motywując jak następuje: Miód prawdziwy jest to z rozmaitych woniejących kwiatów przez pszczoły zbierana słodycz (nektar) znoszony do ula, który oprócz właściwości, lekarskich i hygienicznych, jako prawdziwy posiada i tę, że w krótkim czasie się krystalizuje przybierając wygląd kwiatu kalafiorów, a smak posiada woniejący, podniebienie i krtań drażniący, a jest w całem słowa tego znaczeniu lekarstwem na wszelkie choroby, przyczynia się do długiego życia, czerstwości i zdrowia. Dzieci za młodu już miodem karmione, choć tylko w małych dawkach są później silnemi, i zdatne prędzej się oprzeć silniejszym chorobom.

„Przeciwnie zaś miód sztuczny, czyli przez ludzi robiony jest tylko naśladownictwem pierwszego, robiony jest z cukru, domieszki syropów i olejków, nie posiada żadnych własności lekarskich; a podług zawartości słodkich posiada tylko wartość zwyczajnego cukru.

„Wyjaśniając przeto stósunek i warunki miodów prawdziwego i sztucznego, postanowiło niżej podpisane Towarzystwo wziąć sobie za zadanie konsumującej miód w obydwu gatunkach Szanownej publiczności, także i na ceny zwracać uwagę i starać się prawdziwy od fałszowanego rozróżniać, a uniknąć tego wtenczas, jeżeli z źródeł prawdziwych jakiemi są towarzystwa pszczelnicze, które tylko i jedynie dać mogą życzoną gwarancyą, się zaopatrywać będą w miód prawdziwy.

„Towarzystwo pszczelnicze w Sadach oddaje miód prawdziwy latem od czerwca do października po 1 mk. funt włącznie szkło i opakowanie. Zimą od paźdz. do maja po 1,25 włącznie szkło i opakowanie, lecz z tą różnicą, że wysyłki w szkłach zaopatrzonych w gwarancyą i stęplem za miód prawdziwy, oraz zaopatrzonych w podpisy członków Zarządu."

Wszystkie gazety upraszamy uprzejmie o powtórzenie tego obwieszczenia.

*Lussówko*, 1-go listopada 1906.

*Zarząd towarzystwa pszczelniczego w Sadach.*

*Bolesław Fritsche*, prezes. Lussówko

*Pawlicki*, wiceprezes, Lussowo.

*Jandy*, kasyer i sekretarz, Tarnowo.

* **„Nowiny"** — dziennik za 75 fen. kwartalnie rozpoczał wychodzić nakładem p. W. Wilaka, pod redakcyą p. Teod. Bobowskiego w Poznaniu. „Nowin" odebraliśmy tylko No. 2 — nie możemy więc o programie ich nic powiedzieć. „Nowiny" same nazywają się pismem dla wszystkich.

* **Z teatru:** W poniedziałek odegrano efektowną tragikomedyę Wedekinda w 5 aktach z prologiem *„Demon ziemi"* (*Erdgeist*).

We wtorek: Tadeusza Rittera *„W małym domku"*.

W środę: Bernarda Shawa, *„Marnotrawny ojciec"*. Oryginalna ta i pełna humoru komedya, premiera ostatniej soboty, bardzo sie podobała naszej publiczności.

W czwartek dawano wspaniałe dzieło dramatyczne *„Dziady"* Adama Mickiewicza w układzie scenicznym Stanisława Wyspiańskiego.

W piątek po raz czwarty z wielkim sukcesem powtórzono B. Shawa *„Marnotrawny ojciec"*.

W sobotę: Premiera — nadzwyczaj interesująca sztuka w 3 aktach p. t. *„Bagienko"* przez Bolesława Gorczyńskiego, autora *„Nocy lipcowej"*. Sztukę tę grano w Warszawie i w Krakowie z dużem powodzeniem. Na zakończenie komedya satyryczna p. t. *„Smocza jama"* A. Walewskiego, który w dowcipny sposób ośmiesza modernistyczną literaturę przesadnio symboliczną i dekadencką.

W niedzielę po południu o godz. 3: *„Obrona Częstochowy"*. Dramat historyczny w 7 obrazach przez Juliana z Poradowa. *(Ceny do połowy zniżone)*.

Wieczorem: po raz drugi *„Bagienko"*, komedya w 3 aktach i *„Smocza jama"*, szkic satyryczny w 1 akcie. (Ceny zwyczajne).

* **Wyzwolenie**, Tow. zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholowych. W przyszłą niedzielę, dnia 11 listopada o godzinie 7 i pół wieczorem odbędzie się na sali Dominikańskiej zebranie. Na porządku obrad bardzo zajmujący wykład, przyjmowanie nowych członków itd. Prosimy członków, aby jak najwięcej na zebranie przyprowadzili gości. Także panie mają wstęp wolny i mogą zostać członkami naszego towarzystwa.

Jeżeli sprzyjasz walce z pijaństwem i pragniesz wyrugować używanie trucizny alkoholowej, przybądź na zebranie. Tam się dowiesz, jakie szkody alkohol tobie, twej rodzinie i narodowi twemu wyrządza i w jaki sposób walkę przeciwko niemu prowadzić. O liczny udział członków i gości prosi.

*Zarząd.*

* **Szamotuły.** W niedzielę dnia 18. listopada r. b. odbędzie się u nas zjazd Tow. Przemysłowych i to w celu przystąpienia do związku i utworzenia okręgu szamotulskiego. Do tego okręgu należeć będą: Wronki, Sieraków, Ostroróg, Obrzycko. Tylko Towarzystwo w Pniewach uznaje, iż niema najmniejszej korzyści należenia do związku. Zjazd powyższy rozpoczyna się po obiedzie o godz. 3-ciej u p. Gieremka dawniej p. Studniewski.

*Program:*

O godz. 3-ciej wybór zarządu okręgowego, o godz. 4-tej ogólne zebranie.

Referat p. Mecenasa Czypickiego z Koźmina, p. Janickiego i p. Walczyka z Szamotuł.

Na powyższy zjazd wszystkie szanowne Towarzystwa jak najuprzejmiej zapraszamy *Zarząd.*

* **Środa:** Tow. Młodzieży Kupieckiej filii średzkiej urządza w niedzielę 18-go b. m. na sali p. Hüttnera rocznicę pierwszą założenia filii połączoną z koncertem i różnemi występami: Program nast. Część I. Wykład i powitanie przez p. Dr. Kazimierza Hącię. 2) Śpiew chórowy: Polonez „z Halki" Niechaj żyje para młoda. 3) Deklamacya: ...Naprzód... Ochorowicza. 4) Gra na skrzypcach i fortepianie. Część II. 1) Śpiew chórowy: Powrót taty. 2) Deklamacya: Królowa Balu. 3) Występ artysty-skrzypka p. Pawlaka z tow. fortepianu. Część III.: 1) Tercet humorystyczny. 2) Deklamacya: Pogrzeb Kościuszki. 3) Występ artysty-skrzypka p. Pawlaka z tow. fortepianu. 4) Śpiew chórowy: Dobrej nocy.

Ceny miejsc bardzo przystępne: rezerwowe krzesła 2,00 mk., I miejsce 1,50 mk., II miejsce 0,75 mk., 4) Chórek 1,00 mk., 5) miejsce do stania 50 fenygów. Po koncercie zabawa z tańcami.

Biletów nabywać można u p. p. Hüttnera i Kubickiego.

Członkowie, których nie jest wielka liczba, zadali sobie wiele zabiegów i mozołów, aby Szan. publiczność zadowolnić, postarali się o znanego nam prelegenta a zarazem prezesa Tow. naszego z wykładem, oraz artystę skrzypka p. Pawlaka, żywimy więc nadzieję, iż Szan. Publiczność z miasta i okolicy podąży na koncert tak świetnie się zapowiadający, aby tej młodzieży okazać zainteresowanie i dodać otuchy do dalszej pracy w dzisiajszych czasach, pomimo krępowań z strony władzy, która na każde posiedzenie plenarne swego urzędnika posyła.... *J.*

* **Z pod Obornik:** *W Młynkowie* w pow. Obornickim odbył się w niedzielę dnia 28-go października w domu p. Cwyka wiec w sprawie niemieckiej nauki religii.

Wiec zagaił wobec licznie zebranych ojców p. R. Walkowiak, a przewodniczył ks. proboszcz Ziętkiewicz z Boruszyna. Przemawiali: ks. prob. Ziętkiewicz i pp. Mazur i Walkowiak. Wiec dozorowało dwóch żandarmów.

Została także wysłana petycya z 113 podpisami do król. ministeryum.

Dzieci zastrejkowały zaraz po feryach, strejk jest ogólny.

*Wierny czytelnik.*

* **Odolanów:** Powiatowy orędownik tutejszy donosi co następuje: W piątek (2-go listopada) odbyło się na żądanie rejencyi zebranie dozoru i reprezentacyi szkolnej pod przewodnictwem landrata, by radzić nad sprowadzeniem 2 nauczycieli z powodu strajku. *Członkowie dozoru uprosili 10 dni zwłoki, aby wpłynąć na obywateli,* by znowu spokój i ład zapanował.

„Gaz. Ostr." wiadomości tej nie dowierza. Niestety dowiadujemy się, że tak jest istotnie, że nawet w sprawie tej ma być zwołany wiec, i że wiec ten został zapowiedziany w kościele na dzień 11-go listopada. Czemu? — Stało się to najwidoczniej przez nieporozumienie. Obywatele odolanowscy na wiec, na którym paktować mają z rządem, z pewnością nie pójdą.

*Wybory do rady miejskiej* odbędą się tutaj dnia 20-go listopada.

W niedzielę dnia 4-go bm. odbył się tutaj wiec wyborczy, na który przybyli posłowie dr. Niegolewski, dr. Mizerski i hr. Mielżyński. Wiec odbył się bez przeszkody i wywarł na obecnych ogromne wrażenie.

* **W Ostrowie** odbędą się w piątek dn. 23 listopada wybory do rady miejskiej. Lokalem wyborczym naznaczona jest strzelnica; wybory odbędą się dla klasy III — od godz. 9—2; dla II — od $3^1/_2$—5; dla I — od $5^1/_2$ do 6.

* **Ks. Władysław Bandurski**, kanonik katedralny krakowski, znany ksiądz-patryota, został mianowanym przez papieża Piusa X biskupem Cydonii in part. inf. i koadjutorem arcybiskupa lwowskiego łać. ob., J. Bilczewskiego. Nominacya ta będzie ogłoszona, jak i wiele innych, na konsystorzu papieskim, który odbędzie się zapewne w grudniu.

* **Lwów.** (Galicya). Czterdziestoletni jubileusz swego istnienia obchodziła 4 listopada „Czytelnia Akademicka" we Lwowie. Towarzystwo to powstało w epoce popowstaniowej, w dobie gorączkowych dążeń do stworzenia nowych form społecznego życia. Instytucye społeczne, stowarzyszenia o barwie politycznej i naukowej wyrastały wtedy jak grzyby po deszczu; ileż z nich już upadło lub zwiędło w samych początkach istnienia! „Czytelnia Akademicka" dzierży po dziś dzień wysoko sztandar idei narodowej i demokratycznej, która towarzyszyła jej rozwojowi od kolebki. Nazwiska najwybitniejszych dziś mężów w kraju łączą się z jej dziejami, a dziesięć pokoleń młodzieży galicyjskiej zapisywało się kolejno na kartach księgi członków. Pośród jej kierowników nie brak głośnych uczonych, jak śp. Roman Piłat, znakomitych mężów stanu, jak były namiestnik Galicyi Leon hr. Piniński, wielkich polityków, jak Albin Rayski, prezes klubu lewicy w sejmie galicyjskim. „Czytelnia Akademicka" zajmowała zawsze i zajmuje teraz wśród towarzystw akademickich stanowisko przodujące, skupiające w sobie najlepszą część młodzieży, zajmuje też stanowisko naczelne przez liczne swoje kółka naukowe, wytwarzające żywy ruch naukowy.

Dziś „Czytelnia Akademicka" przebywszy różne burze i rozterki wewnętrzne w czasach swej młodości, staje przed społeczeństwem jako Towarzystwo dojrzałe, poważne tradycyą i siłą swych zasług. W dniu 4 listopada stanęły obok siebie seciny byłych członków Towarzystwo. Dzień jubileuszowy jej uroczystości, jak poranek inauguracyjny w sali Rady miejskiej, poświęcenie kamienia węgielnego pod budujący się Dom Akademicki, koncert i wieczorne zebranie. Święto to było dla Lwowa niezwykłe. Wśród uczestników zjazdu znajdowały się dziesiątki wybitnych posłów, profesorów. Spodziewano się przyjazdu Henryka Sienkiewicza i Zygmunta Miłkowskiego, honorowych członków Towarzystwa — niestety na próżno.

* **Zwracamy** uwagę na stałe zamieszczane ogłoszenie p. *P. Rutkowskiego,* nauczyciela języków i dyrektora *szkoły handlowej w Berlinie* przy Inwalidenstrasse 35. Bliższe szczegóły w prospektach, które p. R. rozsyła na życzenie.

* **Pani T. Kałkowska**, egzam. masażystka, posiada specyalny zakład pielęgnowania twarzy, rąk i nóg przy ulicy Długiej nr. 10 II piętro. Zwracając paniom naszym uwagę na stałe zamieszczane ogłoszenie, polecamy ich względom zakład naszej rodaczki.

* **W Strzelcach** na G. Śląsku — piszą nam z Katowic — otwierają panowie Kardolińscy z Poznania drogeryę medycyalną połączoną z laboratoryum kosmetycznem. Panowie Kardolińscy zasługują na jak najszersze poparcie wśród swoich.

---

**Towarzystwo Czytelni Ludowych.**

**Wszelkie korespondencye w sprawie towarzystwa naszego, zakładania bibliotek itd., prosimy wysyłać wprost do biura naszego pod adresem:**

**Czytelnia Ludowa Poznań (Posen Bäckerstr. 10).**

**Adres skarbnika: Dr. Kapuściński Poznań (Posen).**

---

# Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Michał Przywara,* proboszcz Nowowiejski w dekanacie Sycowskim na Górnym Śląsku, dnia 31-go z. m. w Wrocławiu R. i. p.

† Ś. p. *Walenty Zaremba,* dnia 29-go z. m. w Sulmierzycach w 79-ym roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Marta Matuszewska,* dnia 29-go z. m. przeżywszy lat 23 w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Bolesław Feldman,* dnia 1-go b. m. w Dolsku. R. i. p.

† Ś. p. *Idalia Suchodolska,* dnia 31-go z. m. w Wyszakowie. Pogrzeb odbył się w Mądrem, dnia 3-go b. m. R. i. p.

† Ś. p. *Antonina z Szrajberów Krajewicz,* dnia 3-go b. m. w Śremie w 56-ym roku życia. R. i. p.

---

# Nasza ofiarność.

**Na głodnych Rodaków w Królestwie:** p. N. N. z Ż. 8 mrk.

* * *

**Na odbudowanie spalonego kościoła w Morzewie:** p. N. N z N. W. 30 mk.

* * *

**Sercom litościwym przypominamy weterana z roku 1863-go, schorzałego i biednego, zagrożonego wydaleniem z mieszkania wobec nadchodzącej zimy.**

**Podwójnie daje kto szybko daje!**

## Od Redakcyi.

— *W. K. w Gnieźnie*: Dziękujemy za uwagę. Postaramy się o wyjaśnienie odnośnych kwestyi — później. Obecnie najważniejszą jest — sprawa strajku. Pozdrawiamy.

— *Szarmant*: Handel żywym towarem, jest to handel młodemi dziewczętami. Trudnią się nim najgorsze elementy społeczne — przeważnie żydzi. Oczywiście istoty przehandlowane są najnieszczęśliwsze. Handlarze używają wszelkich forteli, by ofiary swe do siebie przynęcić. Najwięcej znany fortel, to ofiarowanie dobrej służby, zarobków wielkich, nierzadko małżeństwa i t .p. Handel ten — to naprawdę handel niewolnicami. Ścigany też bywa ciężkiemi karami.

*Panu F. M. w Wąbrzeźnie.* Wierszyk nadesłany nie nadaje się do druku. Dziękujemy za łaskawą pamięć.

— *Pani Waleryi D. w Charlottenburgu.* Dziękujemy za łaskawą pamięć; na razie jesteśmy zaopatrzeni w wiersze.

— *Pani Jadwidze P. w R.* Rozwiązanie zagadki „Nicca“ otrzymaliśmy za późno. Co do drugiej sprawy to o niej pomyślemy, skoro się uporamy z procesami.

## Rozmaitości.

*Niezwykłe mężobójstwo.* Burzliwem było pożycie małżonków Marczaków, zamieszkałych w Nowem Otwocku w Królestwie Polskiem. Sam Marczak był człowiekiem potulnym i zawojowanym przez żonę, Maryannę, która znów uchodziła za wielce energiczną i popędliwą niewiastę.

Pewnego wieczoru między Marczakami wynikła ostrzejsza niż zwykle, sprzeczka, podczas której łagodny zazwyczaj Marczak stracił panowanie nad sobą do tego stopnia, że porwał topór i z nim na dokuczliwą żonę się rzucił. Przerażone dzieci rzuciły się pomiędzy rodziców i zdołały rozjątrzonego ojca uspokoić.

Nie przebaczyła mu jednak oburzona niespodziewanym wybuchem męża Marczakowa i straszną mu zgotowała zemstę, bo ledwie zbuntowany małżonek do snu się położył, pochwyciła sagan z wrzącą wodą i oblała nią nieszczęśliwego. Zbudzony strasznym bólem Marczak zerwał się z łóżka i wybiegł z domu, chroniąc się do swej siostry, Agnieszki Bil; ta odwiozła go do szpitala Dzieciątka Jezus.

Poparzenia jednak były tak okropne, że nieszczęśliwy po długich męczarniach życie zakończył.

Swieżo okrutna kobieta stanęła przed sądem w pierwszym wydziale karnym Sądu Okręgowego warszawskiego, twierdziła ona, że oblała męża ukropem w obronie własnego życia, bo powtórnie się na nią z siekierą porwał; dzieci podsądnej potwierdziły jej opowiadanie.

Mimo to sąd uznał winę Marczakowej i skazał ją na pozbawienie praw i przywilejów, oraz 3 lata więzienia.

* * *

*Cywilizowanie Turcyi.* Kwestyą pierwszorzędnej wagi jest obecnie w stolicy sułtana oświetlenie Konstantynopola elektrycznością, zaprowadzenie sieci telefonicznej i tramwaju elektrycznego. Przeciw tym „niebezpiecznym“ reformom powstał ogromnie silny protest partyi rządzącej na dworze sułtana, który trzeba było ułagadzać w imię cywilizacyi... odpowiednią, a dużą sumą pieniędzy.

Roboty około zakładania tych instalacyi elektrycznych byłyby ogromne. O uzyskanie ich starają się dwa towarzystwa, jedno niemieckie i jedno amerykańskie, za którem stoi Rockefeller.

* * *

*Napoleon IV.* Dzienniki paryskie donoszą, że gronu angielskich turystów, zwiedzających apartamenty Napoleona I. w Wersalu, wydarzyła się niezwykła przygoda. Gdy weszli do sypialni wielkiego cesarza, z łóżka podniosła się jakaś postać, zupełnie podobna do Napoleona, w takim samym kapeluszu stosowanym i płaszczu, w jakim przeszedł do historyi. Człowiek ten zwrócił się do przybyłych z słowami: „Jestem Napoleonem IV, potomkiem Napoleona Wielkiego. Walczyłem pod Sedanem. Po bitwie powróciłem do Paryża, przybyłem i tu zasnąłem. Zbudziliście mię. Oddalcie się!“ — Przewodnik turystów poznał odrazu, że stoi przed nim obłąkany, skłonił się głęboko i powiedział: „Jeśli w. ces. mość raczy nam pozwolić, towarzyszyć mu będziemy do pałacu“. Biedny chory zgodził się i poszedł przed towarzystwem z miną pełną godności. Oczywiście, odprowadzono go nie do „pałacu“, lecz do szpitala w Wersalu. Okazało się, że chory jest Włochem; lekarze przypuszczają, że manię jego wywołało niezmierne podobieństwo do Napoleona.

* * *

*Telekino.* Donoszą z Madrytu, że próby czynione z telekinem w Bilbao, dały wynik pomyślny. Telekino, jest to motor na odległość, elektryczny aparat, zapomocą którego można z brzegu kierować łodzią, choćby na niej nie było wcale załogi. Próby odbyły się w zeszłym miesiącu w obecności wynalazcy, Torresa Quedoa, wielu rzeczoznawców i naczelników władz. Szalupa „Biscaya“ była przedmiotem próby. Wśród tłoku łodzi, szalup, parowców i t. p. została „Biscaya“ wyprowadzona z portu na pełne morze i potem sprowadzona z powrotem. Łódź była pustą, a do kierowania nią i prowadzenia używano telekina. Próby te wykazały skuteczność aparatu i zastosowanie nie tylko przy ratowaniu rozbitków, ale i możliwość oddania wielkich usług marynarce wojennej. Dalsze próby odbywają się dalej. Bliższe szczegóły, tyczące się wynalazku, trzymane są w jak najściślejszej tajemnicy.

* * *

*Katastrofa z łodzią podwodną „Lutin.“* Na podstawie pierwszych oględzin łodzi podwodnej „Lutin,“ która, zatonęła pod Bizertą, nasuwa się przypuszczenie, że woda dostała się do jej wnętrza przez otwarte wentyle, które otwiera się tylko wtedy, kiedy potrzeba nabrać wody dla balastu. Sciany przedziałów pękły prawdopodobnie pod naciskiem wody i łódź nie mogła już wypłynąć na powierzchnię wody. Najprzód wydobyto zwłoki podoficerów Donvala i Guczela; następnie zwłoki porucznika Fepoux'a, który miał z głowy zdartą skórę, a wreszcie trupy 5 marynarzy. Reszta zwłok leży w tyle okrętu.

### Znasz-li ten kraj?

Znasz-li ten kraj,
Kraj renów, mrozu, biedy,
Gdzie słońca blask
Zagląda rzadko kiedy.
Gdzie wątły mech
Pod śniegiem się ukrywa,
A główny gród
Archangielsk się nazywa.
Znasz-li ten kraj?
Ach, tam całą gromadą
Z Warszawy dziś
Na osiedlenie jadą.
Znasz-li ten kraj,
Gdzie winny krzew dojrzewa,
Zielony liść
Majowe zdobi drzewa.
Gdzie słońca żar
Z fal Donu wodę pije,
Gdzie żyje wilk
I kozaczyzna żyje.
Znasz-li ten kraj?
Ach, tam, o moja miła,
Z Warszawy się
Na pobyt ludzi zsyła.
Znaszli ten kraj,
Na kresach Europy,
Gdzie Ural hen,
Pod niebios pnie się stropy,
Gdzie w górze raj
Dla orła, sępa, kruka,
A w dole człek
Ukrytych skarbów szuka,
Znasz-li ten kraj,
Posępny, dziki, niemy?
Tam ja i ty
Znaleźć się li możemy.

# Naród Polski
## pod obcem panowaniem.

28) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Wtedy to w latach pokoju Napoleon, zdobywszy ogromną przewagę niesłychanemi swemi zwycięstwami, urządzał świat według swoich myśli.

Sam wyniósł się na cesarza Francuzów (18-go maja 1804 r.) i króla Włoch, a członkom swej rodziny i osobom zasłużonym rozdawał królestwa i państwa, wszelki opór łamiąc siłą zbrojną.

— Wszystko możliwe w Europie, — mówiono wtedy ze strachem — niby to pokój, a wojna wisi w powietrzu!

Nie tracił czasu minister Czartoryski w Petersburgu i ze swoim sekretarzem, księdzem Piatolim pochodzącym z Florencyi, odbywał już ważne narady co do przyszłego odbudowania Polski.

— Przeciwko gwałtownym planom Napoleona — mówił z zapałem Czartoryski — trzeba postawić potężną Polskę w dawnych jej granicach, Polskę połączoną z Rosyą, której carowie będą zarazem królami polskimi!

— Ale Królestwo Polskie będzie stanowić odrębny organizm państwowy, będzie mieć własny rząd i narodowe instytucye!

— A Austrya, a Prusy?

— Austrya za odstąpienie Galicyi otrzyma Śląsk i Bawaryę, lub kraje naddunajskie, Prusy zaś zwrócą Polsce to, co zabrały, a za to wezmą sobie kraje nadreńskie!

I oto jakby w odpowiedzi na przewroty Napoleona miało nastąpić przekształcenie całej Europy, ale teraz już według zasad zupełnej sprawiedliwości, a Francya ścieśniona do dawnych granic, nie byłaby już groźną dla państw innych.

Plan taki miał być przeprowadzony bez wojny, lecz gdy to okazało się niemożliwe, utworzyła się trzecia przeciwko Francyi koalicya [1]) wojenna, do której przystąpiły Anglia, Austrya, Szwecya i Rosya. Prusy do tej koalicyi przystąpić nie chciały, a ich mężowie stanu mówili z chciwością:

— Co nam po tej koalicyi, kiedy my właśnie od potężnej Francyi lepszych nabytków spodziewać się możemy!

Te więc łakome Prusy postanowiono zmusić przemocą, a Czartoryski tak przemawiał do cara Aleksandra:

— Najjaśniejszy Panie! ja radzę, aby Wasza Cesarska Mość obrócił wojska swoje na Prusy, aby zajął Prusy Południowe, Nowo-wschodnie i Zachodnie, i aby ogłosił się królem polskim na całej przestrzeni między Odrą, Dźwiną i Dnieprem! [2])

I wnet iskry zapału przebiegły przez ziemie polskie pod zaborem pruskim jęczące, wstrząsnął się naród, a młodzież gromadzić się i nawoływać poczęła:

— Powstajemy przeciwko jarzmu pruskiemu!

— Na czele armii polskiej staje nasz książę Józef Poniatowski!

Otucha napełniała serca polskie, w Warszawie i całej Polsce gwarno było i rojno, a ludzie ożywiali się najlepszemi nadziejami:

Cieszmy się bracia, bo skoro sama Rosya chce nam

[1]) Koalicya, z łac., związek, połączenie się przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi.

[2]) Morawski, VI, 54.

# Czerwony znak.

9) Z włoskiego tłumaczył **A. P.**

(Ciąg dalszy).

Podminowanie całego sklepu miało na celu wywołanie pożaru, rozszerzającego się bardzo szybko i cel ten został w zupełności osiągniętym.

W najrozmaitszych miejscach pod podłogą leżały papiery nasiąkłe petrolejem i sznury, posypane prochem, tak, że gdy w bryle marmurowej nastąpiła eksplozya, zaczęły się sznury i papiery równocześnie palić. To też cały sklep stanął w kilku minutach w płomieniach.

Wszelkie papiery i dokumenty, odnoszące się do tajnego związku, były bez wątpienia schowane w dole pod bryłą marmurową, urządzenie zaś genialne mechanizmu zapewniało sprzysiężonym ucieczkę, bez narażenia sklepu na zniszczenie. Bo eksplozya następowała wtedy tylko, gdy drzwi do lochu otwierały ręce niepowołane, więc gdy była obawa o odkrycie papierów i ściganie uciekających. Wtedy zostawał mechanizm wprowadzony w ruch, i ścigającym oraz całemu domowi groziło niebezpieczeństwo śmierci i zniszczenia.

Ganek podziemny był, jak Saint-John się przekonał, zupełnie zapadły i gruzami zasypany, i gdyby Opatrzność nie była czuwała nad nim i nad Hamiltonem, gdyby detektyw Johnson nie był usłyszał owego szelestu w marmurze i nie był obrócił płyty na jej dawne miejsce, to obydwóch byłaby w ganku niechybna śmierć spotkała!

Sprzysiężeni przygotowali wszystko jak najstaranniej aby najpierw ratować własne życie, a potem uniemożliwić pogoń policyantom i zniszczyć wszystkie dowody, mogące zdradzić ich plany i zamiary.

Pod jednym tylko względem zachodziła w wszystkich tych niezwykle mądrze obmyślanych urządzeniach pewna niedokładność, albo raczej przeliczenie się, ale i to nie doprowadziło, jak się Saint-John spodziewał, do jakiegoś ważniejszego rezultatu.

Aresztowanemu bowiem młodemu człowiekowi udało się oczyścić z podejrzenia, ciążącego na nim, jakoby był członkiem tajnego związku. Był to młody Hiszpan, nazwiskiem Gomez i pełnił we dnie obowiązki kelnera w jednej z zagranicznych restauracyi w Tottenham Court Road. Gdy zażądano od niego wyjaśnienia co do znaczenia tajnego posełstwa, z jakiem chodził w piątek wieczorem, odpowiedział stanowczo, że tajemnicy zdradzić nie może. Lecz policya znalazła sposób przełamania jego uporu i zmuszenia go do wyznania prawdy, i chociaż jęcząc przysięgał, że łamie uroczyste przyrzeczenie milczenia, zdecydował się jednak na następujące wyznanie:

Pewna Włoszka, której nazwiska nie zna, ale która stale przebywała w restauracyi, w której on usługiwał, zażądała przed trzema mniej więcej miesiącami, aby za stósownem wynagrodzeniem, wypełnił kilka poleceń. Domyślał się też zaraz, że ona należy do tajnego politycznego związku, ale to go ostatecznie nic nie obchodziło. To co miał uczynić, bardzo było łatwem. Co piątek, z małemi wyjątkami, przynosiła mu owa Włoszka karteczkę, na której znajdowało się jedno tylko słowo. Około godziny dziewiątej musiał iść wzdłuż oznaczonej mu ulicy, i to tej, na której mieszkali pan Feliks i Hamilton, i uważać, przy których oknach na parterze wisiała przy żaluzyi krzywo jedna z deseczek, tak, że przez ten krzywy otwór widać było światło z pokoju. W każde takie okno musiał przechodząc, rzucić ziarnkiem grochu i dojść aż do końca ulicy. Po dwóch minutach miał się wrócić, i jeżeli przed domem stał jaki mężczyzna, szepnąć mu to słowo, jakie stało na kartce, wręczonej

przywrócić całość i odrębność Polski, to przecież już temu wierzyć możemy

A takie nadzieje poparte były rzeczywiście czynami, gdyż armie rosyjskie wyruszyły już na zachód, jedna zaś stanęła na granicy Prus gotowa do wkroczenia i oczekująca tylko hasła do tego.

A może ważniejszem od tego było jeszcze to, że car Aleksander udał się osobiście do ziem polskich i w Puławach [1]) u książąt Czartoryskich nietylko, że przyjmowany był z największą okazałością, ale i występował z całą wzajemną serdecznością i słuchał chętnie radosnych okrzyków zapału i uwielbienia, jakie rozlegały się koło niego:

— Oto wspaniałomyślny władzca i oswobodziciel nasz, Najjaśniejszy cesarz Aleksander I., przyszły król Polski!

W Puławach zjawił się minister austryacki Stadion i zjechali się najznakomitsi panowie polscy ze wszystkich zaborów. Przez dwa tygodnie ważyły się w pałacu Czartoryskich losy Polski i Europy, rozstrzygała się ważna sprawa szczerego pobratania się Polski z Rosyą.

Ci, którzy nie mogli być obecni, odczytywali żwawe pisemko polityczne p. t. *„Czy Polacy mogą się wybić do niepodległości?“*

[1]) W Puławach, w gubernii lubelskiej, w rezydencyi książąt Czartoryskich utworzyło się jakby ognisko obumarłego życia narodowego. Tam przebywali bracia Potoccy, Ignacy i Stan. Kostka, uczeni mężowie i poeci, jak Albertrandi, Czacki, Ossoliński Józ., Tarnowski Jan, Matuszewicz, Linowski, Woronicz, Karpiński, Kniaźnin, Piramowicz, Karpowicz. Tam przechowywały się zwyczaje i mowa przodków, „uczony znajdował zachętę, stary żołnierz przytułek, ubogi hojne wsparcie, młodzież uczyła się mówić i myśleć po polsku; tam w bogatych księgozbiorach zgromadzały się skarby dziejów.“ Stamtąd szedł dobry przykład dla narodu. (Morawski, VI, 48,49). W takiem ognisku mogły rozstrzygać się losy Polski.

Ale nie długo miał trwać ten zapał i to ożywienie. Znakomite dzieło politycznego rozumu, wybornie obmyślony plan, powiększający posiadłości rosyjskie, naprawiający krzywdę narodowi polskiemu, usuwający może na zawsze drażliwą kwestyę polską z porządku dziennego, wynagradzający utratę ziem polskich Austryi i Prusom, zapewniał Rosyi panujące stanowisko w Słowiańszczyźnie i w całej Europie.

Jednakże nie rozumieli planu tego, krótkowidzący i zawistni Polsce, rosyjscy politycy, a nawet, pomimo objawów wszelkich, sam, miękki, wrażliwy i chwiejny car Aleksander I.

W lot przeniknęli znakomite zamiary Czartoryskiego przebiegli Niemcy i zaniepokoili się nimi srodze.

— Panie kolego, — pytał przerażony Haugwitz, kierownik polityki pruskiej (do roku 1804) swego następcę Hardenberga — znasz pan „potworny“ plan Czartoryskiego?

— No tak, Polska ma odzyskać swoje prawa narodowe i połączyć się pod jednem berłem z mocarstwem rosyjskiem?!

— Ależ to będzie potęga, która skupi koło siebie wszystkie narody słowiańskie!

— I któż jej zabroni wtedy sięgnąć po Konstantynopol i zawładnąć całym wschodem europejskim?!

— Ale z nami co to będzie?!... Nas Niemców zgniecie ta potęga i odepchnie daleko na zachód!

— Nie dopuścimy do wykonania planu tego!

To też już w Puławach zasępiło się oblicze cara Aleksandra, gdy wśród uwielbień polskich wręczono mu depeszę z Berlina od posła rosyjskiego Alopeusa, w której czytał:

— Donoszę Waszej Cesarskiej Mości, że sfery dwor-

---

mu przez Włocha. Ale nie było mu wolno ani spojrzeć na mężczyznę, ani rzeknąć jednego słowa więcej — nie wolno mu było nawet spojrzeć na numer kamienicy.

Wypełniał on sumiennie wszystkie te rozkazy i za każdym razem dostawał za to dziesięć marek.

— Tak mi ów Hiszpan to opowiedział, — dodał Saint-John, — i wierzę mu, bo wszystko zgadza się z tem, co pan zauważyłeś.

— Więc rzeczywiście nie miałby znać nazwiska pana Feliksa i nie wiedzieć, gdzie on mieszka?

— Nie, wypełniał dane sobie rozkazy z ślepem posłuszeństwem. Mówił mi też, że czasem nie widział wcale przy oknach umówionych znaków — były to może piątki, które sąsiad pana przepędzał po za Londynem. Nie obejrzał sobie nigdy dokładniej domu, w którym pan Feliks mieszka i nie starał się nigdy rozpoczynać z nim rozmowy z tymi, którym tajemnicze niósł poselstwo, nie wiedział nawet, czy to zawsze ten sam mężczyzna, czy za każdym razem inny.

— I szedł tylko zawsze jedną ulicą, tą, na której mieszkam? — pytał Hamilton ciekawie. — Nie dawał umówionych znaków też na innych ulicach?

— Było to także mojem pierwszem pytaniem, — odrzekł Saint-John, — ale on mi odpowiedział, że go nigdy na inną nie posyłano ulicę!

— Więc to znaczy, — zawołał Hamilton, — że dla każdego członka mają osobnego posłańca. Wszyscy ci posłańcy nie znają się nawzajem i nie są niczem innem, jak narzędziem w ich rękach. Nie mają oni pojęcia o działalności tych tajnych stowarzyszeń. Słyszałeś albo czytałeś pan już kiedy o tak znakomicie obmyślonych środkach ostrożności? Jest to rzeczywiście coś nadzwyczajnego.

— Masz pan słuszność, — rzekł Saint-John, marszcząc czoło. — Myślałem wprawdzie, że jestem dostatecznie poinformowany o organizacyi tego związku, ale nie przypuszczałem jednak takiej i przebiegłości i ostrożności. Żeby do tego stopnia zachowywać w tajemnicy nazwiska członków! Jest to dowód, że ci ludzie odważą się na wszystko i nie cofną się przed niczem! Dziwnem jednak jest to, że członkowie jednego i tego samego stowarzyszenia nie znają się nazwajem! Spotykają się na tajnych zgromadzeniach, mają maski na twarzach, i wchodzą do domu za wymówieniem oznaczonego słowa i pokazaniem tatuowanego znaku na ramieniu!

— Obejrzałeś pan ramię Hiszpana? — zawołał Hamilton.

— Naturalnie, ale on znaku tego nie ma!

— A jakże z umówionemi słowami? Przypomina je sobie?

— Kilka — lecz nie wszystkie. Wymieniłem mu rozmaite litery alfabetu greckiego. Delta, Epsilon i Theta pamięta doskonale, inne nie zupełnie. Theta było wczorajszem słowem.

— Jakiem sposobem został ten człowiek aresztowany?

— Nie powiedziałem panu jeszcze, że postanowiłem wczoraj na straży dwóch detektiwów na pana ulicy. Jeden z nich szedł za panem Feliksem aż do domu Macropula, drugi dawał baczenie na posłańca. Szedł za nim najpierw do jakiejś restauracyi, a potem do jego mieszkania i tam go aresztował. Szkoda, że nie schwyciliśmy pana Feliksa, — dodał Saint-John z widocznym gniewem. — Gdybym był przeczuwał, że istnieje tam ów ganek podziemny, to nie byłbym mu pozwolił dojść do Macropula, tylko byłbym go kazał aresztować na ulicy.

— Więc pan Feliks nie wrócił do swego mieszkania?

— Ah, broń Boże! Taki nierozsądny on nie jest! Na wszystko był przygotowany! Rzeczy, jakie zostawił, składają się z małego kuferka, starego ubrania, i trochę bielizny. Przeszukałem starannie jego pokój, lecz nigdzie nie znalazłem ani kawałka papieru, ani listu — zgoła nic! Ten człowiek musi mieć bezwarunkowo jeszcze jedno mieszkanie

skie pruskie ogromnie zaniepokojone czynem Najjaśniejszego Pana naruszeniem terytoryum pruskiego, i że wielce strapionym jest król Fryderyk Wilhelm III., który uważał, że tron rosyjski z pruskim złączony jest dawną tradycyjną przyjaźnią!

Spojrzał ponuro przed siebie car Aleksander, nowe myśli przebiegły mu przez głowę i snuły mu się już uspokajająco:

— Ach terytoryum pruskie pogwałcone, to pewnie już gabinet pruski, doznawszy tyle upokorzeń od Napoleona, teraz już przystąpi do naszej koalicyi!

I nie zawiódł się; ale przy jego wrażliwem usposobieniu, przy ciągłych wpływach i naleganiach Dołgorukiego i jego stronnictwa, które nienawidziło i zazdrościło wpływom polskim, [1]) zachwiał się car zupełnie w swych planach.

Zaraz też w Kozienicach zjawił się układny generał pruski Kalkreuth z zaproszeniem Aleksandra do stolicy Prus.

Więc gdy w Warszawie przygotowywali dlań Polacy radosne i świetne przyjęcie, a książę Józef Poniatowski oczekiwał go w Wilanowie, car Aleksander zręcznie wyminął Warszawę i podążył do Berlina.

Tu stanąwszy, uległ zaraz wdziękom czarującej królowej pruskiej Ludwiki, księżnej meklembursko-strelickiej i pod jej wpływem wydał jej podobno nawet spis poddanych co powstanie przygotowali. [1])

Dnia 3-go listopada 1804 roku przyszedł do skutku w Poczdamie pamiętny traktat trzech monarchów: Fryderyka Wilhelma III pruskiego, cesarza austryackiego Franciszka II (w jego zastępstwie był arcyksiążę Antoni) i Aleksandra I, rosyjskiego. Prusy przystępowały do związku tylko po to, by zyskać czas do uzbrojeń. W razie odrzucenia przez Napoleona warunków króla pruskiego, miał tenże wesprzeć sprzymierzonych całą swą potęgą. Rzecz realna przypieczętowaną została sceną poetyczną, oszołomiającą, przez Prusaków wymyśloną.

Oto wśród ciszy nocnej wstępują sprzymierzeni monarchowie do ponurego grobowca wielkiego króla Fryderyka II. Głucho rozlegają się stąpania idących, wita ich cichy grób tajemnym, wstrząsającym szumem nocy, a urocza królowa Ludwika tuli się do męża swego. Podnoszą się w górę dłonie i zwolna rozlegają się uroczystym głosem wypowiedziane słowa:

— Na grobie wielkiego króla zaprzysięgamy ten wieczysty traktat!...

[1]) Z zawiścią i niechęcią patrzyli Rosyanie, gdy Czartoryski obejmował ster wychowania publicznego na Litwie i Rusi i gdy Polacy, wygnani i pozbawieni swych majątków, wracali zwolna do kraju i odzyskiwali swe zagrabione dobra. Czartoryski, jako minister spraw zagranicznych, był przedmiotem zazdrości i podejrzliwości Rosyan, którzy zaślepieni dumą narodową, nie zrozumieli wielkich celów, do których dążył tak dla dobra Rosyi, jak i Polski. Nie lubiła go i unikała matka cesarza a Dołgoruki, śmiesznie dumny, oświadczył mu wobec cesarza:

— Pan rozumujesz jak książe polski, a ja jak książe rosyjski!

Gdy zaś Aleksander zgadzał się na plany Czartoryskiego i na swą koalicyę, Dołgoruki dokładał wszelkich starań, by go odwieść od tego i zwracał szczególnie jego uwagę na wielkie poruszenie się całej Polski. Sokołowski, IV, 1314.

[1]) Morawski, IV. , 55

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

w Londynie, możesz mi pan wierzyć. To, które miał obok pana, używał tylko jako członek tajnego związku.

— Macropulo i Anioł znikli także?

— Jak dwa ziarnka piasku w morzu, — odrzekł Saint-John z gorzkim uśmiechem.

— Więc wszelki ślad stracony?

— Tego nie mówię, — odrzekł dyrektor policyi nieco podniesionym tonem. — Mamy dokładny opis Greka i jego towarzyszki, oraz dawniejszego sąsiada pańskiego, pana Feliksa, którego rysopis, dany nam przez pana, gospodyni jego jeszcze uzupełniła! Wszystkie większe dworce, wszystkie portowe miasta są pod strażą policyi. Oprócz tego znajduje się jeden z moich urzędników na drodze do Paryża, aby zasięgnąć wiadomości o wielbicielu panny Garcyi o Henryku Poiton!

— Jestem przekonany, że Henryk Poiton nie jest nikim innym, jak panem Feliksem, — zawołał Hamilton żywo.

— Musimy to najpierw odczekać, — odrzekł Saint-John. — Spodziewam się, że mój urzędnik wnet mi da znać telegrafem o wyniku swych poszukiwań. A teraz jeszcze jedno. Cevanci musi być jak najprędzej napowrót sprowadzony do Londynu — musimy go zmusić do powiedzenia wszystkiego, o czem wie. Daj mi pan, proszę, adres brata, abym każdej chwili wiedział, gdzie tego Włocha znaleść mogę!

— Ale postarasz się pan o zupełne bezpieczeństwo osobiste starego człowieka, nieprawdaż? — spytał Hamilton, pisząc adres.

— Naturalnie! Pozostaw to pan spokojnie mnie! Dopóki stoi pod moją opieką, dopóty nic mu się złego nie stanie. Co do owego Gmeza, którego nie potrzebujemy dłużej w areszcie zatrzymywać, to i z niego oka nie spuścimy.

Żona Macropula angażowała go zapewne jako posłańca i on ją z łatwością poznał!

— Aniołów nie łatwo można aresztować, — zauważył Hamilton trochę niechętnie.

Saint-John zrozumiał wymówkę i rozgniewał się.

— Przyznaję, — rzekł, — że niepowodzenie nasze sprawiło nam bardzo przykre rozczarowanie, mianowicie panu, i to właśnie w chwili, w której tak pewnym byłeś zwycięztwa. Ale uspokój się pan, klęskę tę zdołamy powetować wkrótce! Mamy teraz kilka wskazówek i zanadto jesteśmy sprzysiężonym na piętach, aby się długo ukrywać mogli!

Hamilton uśmiechnął się z pewnem niedowierzaniem. Nie podzielał on wcale tej pewności siebie dyrektora policyi.

W tejże chwili wszedł urzędnik z poczty do pokoju.

— Ah, telegram do mnie, — zawołał Saint-John, zrywając się szybko. — Z Paryża! — dodał, zrywając pieczęć. — Wybacz pan — ale muszę natychmiast odcyfrować treść jego!

Najpierw jednak odprawił posłańca, potem poszedł do biurka, wyjął z tajnej szufladki jakiś zeszyt i porównując litery depeszy z literami w zeszycie, zapisywał wszystko na kawałku papieru.

— Głupstwo! Szkoda! — mruknął podając Hamiltonowi papier.

Stały tam następujące słowa, przetłumaczone z znaków depeszy:

„Adres Henryka Poiton znaleziony — od czterech tygodni nikt go w Paryżu nie widział — opuścił mieszkanie — nie wiadomo gdzie jest — przeszłość jego policyi francuskiej wcale nie znana!“

— Wszystko to potwierdza moje przypuszczenie, — rzekł Hamilton, kładąc papier na biurku. — Chcąc znaleść Henryka Poiton, musimy szukać pana Feliksa!

## ROZDZIAŁ XVII.

Hamilton nie mógł składać całej winy na policyą za

(Jan Świerch).

# Najmłodszy.

(Dokończenie).

Przed nimi, na rozwitej chorągwi unosił się wyblakły obraz Matki Boskiej, a ksiądz podniósł w górę mały krzyżyk czarny i błogosławił na ten świt nowego dnia.

Błogosławił te szeregi obrońców Ojczyzny, te bory ciemne i głuche, te dalekie niwy i łąki, tę Ojczyznę biedną i skatowaną bezlitośnie, a ukochaną serdecznie...

. . . . . . . . . . . . . . . .

Było to pod Monwidowem niedaleko Kiejdan. Bitwa 14 lipca r. 1863.

Moskiewski jenerał Czortkow napadł na obóz księdza Maćkiewicza i walka zawrzała silna.

Zahuczały armaty, zagrały bagnety i lasy wtórzyły echem strasznym, ponurym...

— Do broni!... — rozlega się komenda.

— Do broni! — powtórzyły ściany lasów dookoła rozwite.

— Na bój! — szepnął młodzieniec nowo przybyły i przeżegnawszy się, wymawia cicho imię matki.

Walka wre. Pięćkroć liczniejsze moskiewskie wojsko jenerała Czortkowa cofa się coraz dalej i dalej. Wreszcie niema go.

Uszli w popłochu i trwodze.

A na polanie, gdy słońce zachodzące zlało złote blaski pożegnalne, ksiądz Maćkiewicz podniósłszy znów swój mały krzyżyk w górę — śpiewać począł na modlitwę wieczorną:

— Wszystkie nasze dzienne sprawy.

Pieśń zwycięstwa i dziękczynienia płynęła w dal, a tony jej niosły ukojenie i nadzieję w serca tych, którzy zmęczeni i smutni już byli.

. . . . . . . . . . .

— Księże Naczelniku — donosi włościanin z Ignacewa — dziesiętnik szóstej dziesiątki — tego najmłodszego nie ma.

— Jakto?... Może między rannymi...

— Rannych mamy tylko 11-tu, między nimi go niema.

— Czyżby... zabity?...

— Nie ma go... dwu tylko naszych usnęło, ale między nimi go nie ma.

— Szkoda chłopaka!... Dzielny się zdawał, jeszcze przeszukać okolicę...

— Lecz nie ma nigdzie.

Noc zapadła i cisza głucha rozłożyła swe skrzydła. Obóz spoczywa, straże czuwają.

— Kto idzie?...

— Swój!

— Hasło?

Odpowiedział dobrze i zbliża się on, najmłodszy, a idzie z miną pełną radości i szczęścia... bo niesie i ledwo dźwiga 12 karabinów na sobie, a na plecach ma wspaniały płaszcz jenerała Czortkowa.

— Witajże Mazurze — wołają powstańcy — gdzież zbierałeś te skarby? Czy wiesz, że nie wolno oddalać się od obozu?...

Pognałem za nimi, a wracając zbierałem pogubione karabiny. Płaszcz ten przyda się może.

Złożywszy ciężką broń, chciał dzielny chłopak iść dalej, ale zatoczył się i padł zemdlony.

Dopiero pomyślano o tem, iż on nie w ustach nie miał dnia tego, a napracował się za dziesięciu.

Na drugi dzień rano „najmłodszy“ otrzymał pochwałę za gorliwość w służbie.

(Koniec.)

---

nieudanie się wyprawy przeciwko sprzysiężonym, zachodziły tu bowiem przeszkody, których przewidzieć nie można było rzeczywiście. Wszystko było jak najlepiej urządzone i poszło na marne, i Hamilton był zły i rozczarowany. I chociaż musiał sam sobie powiedzieć, że nikt nie mógł się domyślać istnienia podziemnego ganku, to czuł się ogromnie upokorzonym na myśl, że sprzysiężeni tryumfują nad nim, i że policya poniosła klęskę, co się zowie. Tajemnice tajnego związku zostały tajemnicami, i nikt nie zdołał im wydrzeć ani jednego słowa, ani kawałka papieru!

Ale nietylko niepowodzenie gniewało i niepokoiło Hamiltona — wiedział on teraz bardzo dobrze, że porażka ta miała w następstwie poważne osobiste niebezpieczeństwo dla sprzysiężonych, ale nadto narażonym był na ich zemstę.

Czytał raz w jakimś opisie Indyi o polowaniach na tygrysy w dżunglach indyjskich, o owych chciwych krwi, okrutnych i przebiegłych bestyach, które żądne zdobyczy towarzyszą swej ofierze od jednego obozu do drugiego, zdradzając obecność swą we dnie szelestem wysokiej trawy, a cichym mrukiem w nocy.

I gdy wszystko we śnie odpoczywa, czołga się krwiożercze zwierzę ku namiotom i zbliża się do upatrzonej ofiary. Potem jeden skok, jedno uderzenie silnych pazurów, głośne mruczenie zadowolenia, w odpowiedzi na to krzyk śmiertelnego przerażenia, jęk — i wszystko skończone. W tem samem dziele czytał także historyą pewnego podróżnika, którego ścigał potwór ludzki, do tygrysa podobny — dniem i nocą, aby mu przy najbliższej sposobności wbić sztylet w serce. Ale sposobność nie nadarzyła się i prześladowcę przyniesiono nareszcie do obozu, wyniszczonego zupełnie nieustannem czuwaniem i nieludzkiem zmęczeniem. Był to człowiek złamany na duchu i na ciele, nieuleczalnie obłąkany!

Teraz rozumiał Hamilton lepiej te opowiadania, odnosiły się także i do niego samego. I jemu groziło każdej godziny i każdej minuty największe niebezpieczeństwo, tem większe, że było niewidzialnem! Do tego dołączało się jeszcze przeświadczenie niemożliwości uchronienia się przed ciosem wroga, który uderzał właśnie wtenczas, kiedy się tego najmniej spodziewano, i nieustanna obawa napadu. Obawiał się, że rozum straci, jeżeli niepewność ta, która umysł jego opanowała, długo jeszcze potrwa, i jeżeli codziennie, co godzinę na każdym kroku i o każdej porze widzieć będzie bladą twarz „Anioła.“ Jego niepewne, nerwowe spojrzenie, jakiem obejmował każdą, koło niego przechodzącą kobietę, aby się przekonać, czy nie ma broszki kameowej, musiało w końcu wywierać na przechodniach wrażenie człowieka, nie mającego zdrowych zmysłów!

Pod tymi warunkami było życie prawdziwą dla niego męką. To też powiedział sobie, że jeżeli chce tę mękę zakończyć, to musi działać energicznie i nieustawać w swoich poszukiwaniach.

Opuścił Saint-Johna nie mówiąc mu ani słowa o tem, że zna jeszcze jeden, chociaż bardzo niedokładny, a może i zwodniczy ślad przestępców. Po odniesionej klęsce owej nocy postanowił nie powierzać nikomu tego odkrytego śladu, poznał bowiem, że Saint-John, pomimo całej swej dzielności, nie jest dosyć przezornym i przebiegłym. Lecz chociaż umiał ocenić zręczność detektiwów, a o sobie pod tym względem nie miał zbyt wygórowanego wyobrażenia, to jednak przeczuwał instynktem, że ślad ten zatrze się natychmiast, gdy ktoś niezręczny go dotknie.

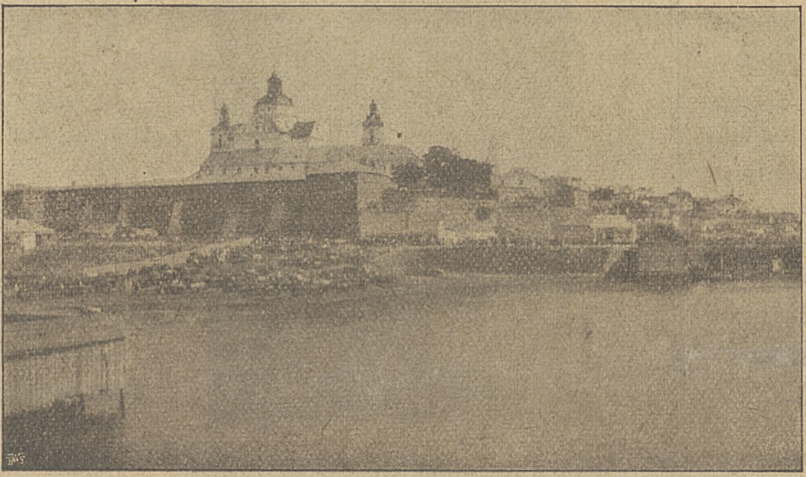
Ślad, który Hamilton pragnął ukryć przed innymi, polegał na podobieństwie pierścionka, jaki Stella Garcja miała na palcu i jaki dłuto artysty Caradiniego wykuło na palcu marmurowej dziewczynki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRACA

Tygodnik illustrowany





Kościół w Makowie.

# Z ojczystych stron.

## Kościół w Makowie.

Słynne niegdyś były puszcze mazowieckie w Królestwie Polskiem. Wśród gąszczów leśnych, wśród bagien utworzonych na wydmach piaszczystych, kryły się osady ludzkie, do których dostęp mieli tylko swoi. Puszcze mazowieckie przez długie lat dziesiątki były ostoją żywiołów, nie chcących nic ustąpić ze swobody, niczem nieograniczonej. Tu wszczął się pamiętny bunt Masława, który w zaczątkach istnienia Polski omal nie zniszczył jej bytu państwowego i, choć stłumiony przez Kazimierza I, długo powstrzymywał pochód ku północy chrześciaństwa, a z niem jednolitej organizacyi państwowej. Tu przez wiek cały toczyła się walka chrześciaństwa z pogaństwem, zakończona sprowadzeniem Krzyżaków i zupełnem wyniszczeniem pogańskich Prusów.

Ciężka to była walka: kawałkami trzeba było zdobywać te puszcze dla cywilizacyi, a zdobyte — silną dzierżyć ręką. Ztąd też królowie i książęta polscy liczne wznosili tu zamki, aby w nich bronić zdobyczy, budowali kościoły, aby krzepić w nich słabo jeszcze podówczas zakorzenioną wiarę chrześciańską. Z zamków ówczesnych nie wiele do dziś dotrwało; nawet pamięć o nich zginęła. Kościoły, odnawiane i wzmacniane, dzięki opiece ludzi pobożnych, bogobojnych, dłużej opierały się niszczącej działalności czasu i do chwili obecnej niektóre dotrwały.

Z zamków ówczesnych zniknął bez śladu zamek Makowski. Jak się to stało, kiedy? — niewiadomo. W aktach miejskich niema o tem wzmianki. A jednak zamek ten istniał, musiał być nawet obszerny, skoro kilkakrotnie gościł w swych murach książąt mazowieckich. Później w zamku tym odprawiano sądy grodzkie i ziemskie. Z podania wiadomo tylko, że wznosił się nad rzeką, Orzycą lub Orzycem zwaną, na wyniosłem wzniesieniu. Później w tem miejscu stanął dom starościński. Dziś miejsce to jest zabudowane według mody teraźniejszej.

Z dawnych, bardzo dawnych czasów pozostał kościół parafialny, pod wezwaniem Bożego Ciała. W aktach biskupów płockich znajduje się wzmianka, że kościół ten wzniesiono przed rokiem 1200. Zdaje się jednak, że data owa oparta jest chyba na legendzie. Być może, iż około tego czasu stał tu Dom Boży drewniany, a nawet i murowany, ten atoli, który dziś widzimy, późniejsze ma znamiona architektoniczne. Styl jego ma cechy tak różnorodne, iż nic pewnego w tej mierze powiedzieć nie można, to tylko pewna, że wielokrotnie musiał być przerabiany, a każdy budowniczy pozostawił na nim piętno swojego czasu. Najwięcej szczegółów budowy odnosi się do wieku XV-go.

Wyniosła nawa środkowa dowodzi śmiałości budowniczego, który pierwszy stawiał mury tej świątyni. Prawdopodobnem jest zdanie znawców niektórych, utrzymujących, iż boczne krużganki i prezbyteryum później zostały

dobudowane. W stosunku do nawy głównej są one nieco za niskie. Szczytowa ściana prezbyterium, z krawędziami esowato zagiętemi, wskazuje, że ta część kościoła przerabiana była w XVI lub XVII wieku. Z dawnej ściany pozostało tylko okno, które prawdopodobnie podczas przebudowy zamurowano. Widnieją w niem atoli przedziały dosyć osobliwe, pozwalające wnosić o dawniejszem pochodzeniu tej ściany. I naczelna ściana kościoła, lubo ma krawędzie zębate, również wskazuje, że kilkakrotnie była przerabianą, a nawet rozszerzaną.

Dzwonnica, obok kościoła stojąca, odznacza się niezwykłą formą i do rzadkich osobliwości budowlanych może być zaliczoną. I na niej też widnieją ślady kilkakrotnych przeróbek.

Dolna część murów kościelnych zbudowana została z wielkich głazów, rozmaitej formy. Nawet młyńskie kamienie i okrągło wystające kule kamienne można tu i owdzie rozróżnić.

W stosunku do okazałości zewnętrznej, wnętrze kościoła makowskiego jest bardzo skromne. Dziwić się temu nie można. Kościół zniszczony w XVIII-ym wieku przez pożar, stał pustką, a w r. 1806-ym zamieniony został na piekarnię dla wojska francuskiego, które tu przez czas pewien obozowało. Do roku 1837-go świątynia wciąż była opuszczoną, dopiero za usilnem staraniem ówczesnego proboszcza i przy pomocy parafian doprowadzono kościół do jakiego takiego porządku, aby w nim nabożeństwa mogły się odbywać. W ósmym dziesiątku zeszłego stulecia kościół zyskał nowy ołtarz wielki; równocześnie też odnowiono boczne ołtarze.

W prezbyterium widnieją nagrobki w formie tablic, z napisami tak zatartemi, że ich odczytać nie podobna. Herby tylko wskazują, do jakich rodów należeli ci, których pamięć tu uwieczniono: byli to starostowie makowscy z XVII wieku. Najokazalszym jest nagrobek starosty Noskowskiego, zmarłego w r. 1591-ym.

O mieście samem niewiele jest do powiedzenia, bo też niewiele różni się ono od innych naszych małych mieścin.

Za miastem, w stronie północno-wschodniej, znajdują się ślady dwóch dosyć dużych kopców; legenda powiada, że miejscowi Mazowszanie usypali je, by uwiecznić pamięć ostatnich dwóch swoich książąt, Janusza i Stanisława. W połowie zeszłego wieku zaczęto je rozkopywać. Szukano zabytków starożytnych, czy też skarbów zakopanych — ale nic nie znaleziono.

*M. S.*

# Matka Kościuszki.

W naturalnym porządku rzeczy leży, że każdą jednostkę przygotowuje do życia społecznego — życie domowe; charakter każdego z nas kształtuje się przedewszystkiem wśród rodziny. Na rozwój każdego człowieka, bez względu na jego działalność prywatną czy publiczną, otoczenie, jakie ma w latach młodości, wywiera wpływ najpotężniejszy.



**Tekla z Ratomskich Kościuszkowa.**

„Dobra matka — powiada jeden z myślicieli angielskich — warta jest więcej niż stu nauczycieli. Dziecko zawsze ją naśladuje, a to naśladowanie jest całym światem nauk.'' Napoleon Bonaparte, który, jak wiadomo, nie był ani wielbicielem, ani nawet przyjacielem kobiet, musiał jednak stwierdzić na mocy doświadczenia, że „złe lub dobre postępowanie człowieka zależy głównie od matki, od nauk, jakie mu w młodości dawała, od przykładów, jakiemi mu przyświecała''.

Jedną z najwybitniejszych i najpiękniejszych postaci w dziejach narodu naszego jest Tadeusz Kościuszko. Rozum, odwaga, prawość charakteru, szlachetność uczuć i gorąca miłość ojczyzny — uczyniły zeń gwiazdę, oświetlającą wspaniałemi promieniami ostatnie dni niepodległej Polski. W jakim stopniu przymioty te Kościuszko zawdzięczał swej matce, domyślać się tylko można, niewiele bowiem mamy dotychczas dokumentów, pozwalających na skreślenie obrazu tej, która Polsce dała wielkiego człowieka.

Źródłem miłości ojczyzny jest miłość tego maleńkiego kółeczka rodzinnego, do którego w społeczeństwie należymy. Miłość Kościuszki względem rodziny była bardzo wielka i wpływ jej na przyszłe życie musiał być potężny. Słońcem zaś w kole rodzinnem Kościuszki była matka jego Tekla z Ratomskich.

Ludwik Tadeusz Kościuszko, miecznik brzeski, ojciec bohatera naszego, poślubił około roku 1750-go sierotę, chowaną w domu swej stryjenki, cześnikowej. Nie była sierota owa najzupełniej ubogą, miała bowiem własny folwark, którym opiekował się brat jej, Marcin Ratomski. Folwark ów, Drazy, Ludwik Kościuszko wkrótce po ślubie objął w posiadanie, lecz niebawem zrzekł się go na rzecz stryjecznego brata swej żony, Józefa Ratomskiego, zadawalając się wypłatą posagu w sumie 12,000 złp. Były tam prawdopodobnie przy tych spłatach pewne spory, załatwione jednak „przyjacielską perswazyą''.

Młodzi małżonkowie zamieszkali nie w rodzinnej swej wsi Siechnowicach, bo te Ludwik Kościuszko zmuszony był sprzedać Faustynowi Kościuszce, stryjowi swojemu, — lecz w Mereczowszczyźnie, nabytej drogą procesu spadkowego.

W Mereczowszczyźnie objęła ster gospodarstwa domowego Tekla Kościuszkowa; tu powiła córki Annę i Katarzynę, oraz dwóch synów, Józefa i Andrzeja Tadeusza. Przywiązana całem sercem do „miłego małżonka'', z którego strony doznawała „szczerej i rzetelnej w małżeńskiem pożyciu przyjaźni i pilnego pieczołowania'' — własne jej słowa w jednym z dokumentów majątkowych — rządnością i gospodarnością doprowadziła zawikłane interesy majątkowe męża swego do porządku, co więcej nawet, zdołała, już po śmierci męża, odkupić majątek rodzinny Siechnowice.

Ojciec Tadeusza cieszył się wielkiem zaufaniem i poważaniem wśród szlachty nietylko okolicznej, ale i dalszej. Rady jego wzywano w najrozmaitszych sprawach, nawiedzano go licznie we własnym jego domu, często też na długie dni i nieraz tygodnie z domu tego wyjeżdżał. Żona jego wtajemniczona była we wszystkie interesy i, jak się zdaje, kierowała nawet niemi, a miała po temu i bystrość umysłu i energię. Uprzejma w obejściu, życzliwa, umiała jednak, gdy było potrzeba, wystąpić energicznie, nakazać np. ekonomowi listownie, aby

nie przestępował dyspozycyi a pilnował tego, co pani przykazała. „Pamiętaj, że mój chleb jesz i ja płacę“ kończy pani Kościuszkowa jeden z takich listów, co nie przeszkadza jej podpisać się „uniżoną waszmość pana brata“.

Około 18-tu lat trwało pożycie małżeńskie. Gdy Ludwik Kościuszko zmarł w r. 1758-ym, wdowa po nim, w najpiękniejszym kwiecie wieku, bo miała lat trzydzieści kilka, pozostała z czworgiem małoletnich dzieci. Tadeusz miał wtedy lat 12. W krótce po śmierci męża przeniosła się do odkupionych Siechnowic.

Wyrazem przywiązania do męża był wspaniały pogrzeb, jaki mu sprawiła, kosztem wielkiej na owe czasy sumy, dochodzącej do 800 złp. Około 30-tu kapłanów uczestniczyło w owym pogrzebie, przybyły bractwa z parafii okolicznych, a dzwony żałobne rozbrzmiewały we wszystkich kościołach aż po Brześć litewski.

Pod okiem matki Tadeusz spędził jako sierota lat siedm. W ciągu tego czasu matka wydała za mąż córki — Annę za Antoniego Estkę, Katarzynę za Karola Żółkowskiego — i obie hojnie wyposażyła (po 10,000 złp.), poczem oddała się całkowicie wychowania synów.

Starszy, Józef, cieszący się większą pieczołowitością matki, wyprowadzony został na drogę urzędów publicznych, był deputatem trybunału a następnie oboźnym brzeskim. Zmarł bezdzietnie w r. 1789-ym.

Nie mamy pewnych danych gdzie młodszy syn, Tadeusz, pobierał pierwsze nauki. Ojciec przykładem swoim wywołał w jego duchu cześć i zamiłowanie do zawodu wojskowego. Po śmierci ojca Tadeusz przebywał stale w domu rodzicielskim, później prawdopodobnie kształcił się w Brześciu u jezuitów do roku 19-go życia. Przez cały ten czas matka troskliwie się nim opiekowała, wreszcie przy pomocy przyjaciela rodziny, Józefa Sosnowskiego, członka ówczesnego ministeryum wojny, umieściła Tadeusza w r. 1765-ym w Korpusie Kadetów w Warszawie.

Od tej dopiero chwili niknie wpływ matki na syna; wkrótce też rozchorowała się i zmarła w r. 1768-ym. Pogrzebem jej zajął się gorliwie jej syn Józef. Tadeusz nie był na pogrzebie matki; zapóźno otrzymał wiadomość o jej zgonie.

## Portrety
# Tadeusza Kościuszki
### z ostatniego roku jego życia.

Ostatnie dwa lata życia Kościuszki spłynęły bohaterowi naszemu niemal w całkowitem odosobnieniu. Otoczony czułą opieką Zeltnerów w Solurze, z rodakami rzadko się widywał, bo ci nie odwiedzali ustronia szwajcarskiego, w którem Naczelnik osiadł na stare lata.

Z Polaków nikogo nie było przy nim w chwili zgonu; Zeltner z żoną i krewniaczka ich Emilia Zeltner byli jedynymi świadkami zgonu. W ostatniej chwili w gorączce mówił o Ojczyźnie, wygłaszał jakieś przepowiednie o przyszłości Polski. Obecni nie zrozumieli dokładnie słów jego.

Około 10-ej wieczorem zabrakło mu głosu. Spojrzał ze słodkim uśmiechem na obecnych, podał rękę Zeltnerowi i — rozstał się z życiem.



**Tadeusz Kościuszko.**
Z portretu malowanego podług miniatury R. R. Reinagla w r. 1817.
Ze zbiorów Muzeum narodowego w Rapperswylu.

Korzon, badający drobiazgowo życie Kościuszki, nie może się doliczyć nawet trzydziestu wizyt, złożonych mu przez dwa lata pobytu w Solurze.

Nadszedł rok 1817. Kościuszko, jakkolwiek był już starcem 71-letnim, trzymał się krzepko. Widzimy to z portretu, malowanego w tym roku przez R. R. Reinagla. Szybko jednak podupadać zaczął na zdrowiu. W dniu 1-ym października zachorował na „epidemiczną gorączkę nerwową“, jak orzekli lekarze ówcześni.

Na cześć tygodni przedtem jeden z gości solurskich naszkicował sylwetkę bohatera. Chorego ratowano wszelkiemi sposobami, lecz bezskutecznie. W dniu 17 października rozstał się z życiem. Do ostatniej chwili zachował przytomność umysłu, prosił, aby szablę jego wraz z nim w trumnie pochowano.

Zwłoki zabalsamowane przewieziono do Krakowa i złożono w grobach na Wawelu. Serce, złożone oddzielnie w urnie marmurowej, znajduje się w muzeum narodowem w Rapperswylu.

# Z teki tetryka.

*Jak nie masz metalu tak twardego, któregoby ogień nie zmiękczył, tak niema sprawy złej do tego stopnia, żeby jej pieniądz nie naprawił. Złoto zmusza nawet umarłych do mówienia, a bez pieniędzy nie można niemowom nawet nakazać milczenia.*

* * *

*Kiedy mężczyźni są razem, słuchają się, — kobiety i dziewczyny patrzą na siebie.*

# *Chleba naszego...*

*...Pod cieniem uchylonych wrót stała ponuro,*
*W strzęp płachty szarej kryjąc twarz, kiedy za chmurą*
*Ukryty księżyc teraz nagle snop promieni*
*Srebrnych na ziemię rzucał, wynurzając z cieni*
*Starej bramy, tę postać złowrogą w łachmanie.*

*Nawprost czarnego kąta, gdzie cicho, przy ścianie*
*Czaiła się nędzarka. Żywe światło gazu*
*Z poza szyb zwierciadlanych mówiło odrazu*
*Zziębniętym—że tu ciepło; smutnym—że wesoło;*
*A głodnym — wskazywało rozłożone w koło*
*Stosy bułek, i chleba, i wszelkie pieczywo*
*Ciepłe, wonne, rumiane drażniące tak żywo*
*Tych wyrzutków ulicy u piekarni proga,*
*Co o zeschły kęs chleba żebrzą w Imię Boga!*

*Ach! wiecież wy, szczęśliwi, co to głód i nędza?*
*Co resztki człowieczeństwa z człowieka wypędza?*
*I robiąc z niego zwierzę dzikie, nierozumne,*
*Wiedzie go na galery, albo rzuca w trumnę!...*

. . . . . . . . . . . . . . .

*Stała...*

*Dreszcz wyniszczenia wstrząsał wyschłem ciałem.*
*Tylko posępne oczy rozpaczą i szałem*
*Gorejące, zwracała na piekarni szyby,*
*Gdzie stos rumianych bułek rzucono, jak gdyby*
*Dla urągu tej nędznej, co chleba kawała*
*Trzy dni, tak! trzy dni całe już w ustach nie miała!...*

*I przyszła na nią żądza nierozumna, wściekła!*
*Choć duszę nieśmiertelną zatraci do piekła,*
*Choćby kraty więzienne pochłonąć ją miały,*
*Choćby tłumy jej mianem „złodziejka“ w twarz plwały*
*Ona pójdzie, tak, pójdzie śmiało i pochwyci*
*Tę dużą bułkę chleba, która ją nasyci,*
*Uciszy ten głód straszny, co już czasu tyle*
*Dni zamienia jej w wieki, a w godziny chwile,*
*I zmęczone wnętrzności szarpie bezlitośnie,*
*I z każdem, z każdem tchnieniem potężniej, rośnie*

. . . . . . . . . . . . . . .

*Za chwilę nieświadoma, co się wkoło dzieje,*
*Biegła, a za nią krzyki: „złodzieje! złodzieje!...“*

*Jej oczy krwią nabiegły, dłonie cisną z trwogą*
*Chleb skradziony. Jak głodna wilczyca, z złowrogą*
*Chciwością chleb szarpała wielkiemi kawały,*
*A łzy, łzy głodnej żądzy z oczu jej się lały...*

*Gdy wreszcie ołowiana dłoń karna jej ramię*
*Ujęła, wówczas jako pręt zaschły się łamie,*
*Tak ona z głuchym jękiem na ziemię się chyli...*
*Podnoszą — martwa. Serce jej pękło w tej chwili,*
*Kiedy świadomość hańby, wzgardy, upodlenia,*
*Nagłym błyskiem wyrwała nędzną z odrętwienia.*

*M.*



**Tadeusz Kościuszko**
rysowany z natury w Solurze 15 sierpnia 1817-go r. na 2 miesiące przed zgonem.
(patrz artykuł p. t. „Portrety Kościuszki“)

# Dzieje starożytnego krzyża
## w Warszawie.

Na zakończeniu ulicy św. Barbary przy murze dawnego cmentarza Świętokrzyskiego, stoi krzyż drewniany z figurą Zbawiciela. W cokole krzyża, widnieje w zagłębieniu pozłacany obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, przyozdobiony wianuszkiem metalowym. Mur wspomniany jest tylną ścianą dawnego, dziś pustego grobowca, który wzniosła na cmentarzu Świętokrzyskim Elżbieta z Szydłowskich Grabowska, morganatyczna żona króla Stanisława Augusta, dla swej córki Aleksandry z Grabowskich hr. Krasickiej, zgasłej d. 12 maja 1789 r. w 18 roku życia. W pieczarze obok córki, spoczęła i fundatorka grobowca Grabowska d. 28 maja 1810 roku, mając lat 61.

Dawny przeto grobowiec, raczej tył jego, na wysokości i szerokości swojej, posłużył za framugę do przyozdobienia figury w tem miejscu ustawionej.

Obywatel miasta Warszawy p. Jan Starożyk tak opisuje dzieje tego krzyża:

Zgromadzenie księży misyonarzy warszawskich u św. Krzyża, nabywając dwie włóki gruntu od OO. Paulinów, z donacyi Bolesława księcia Mazowieckiego na części wsi Kałęczyn nazwało tę część folwarkiem Świętokrzyskim. Gdy zabrakło miejsca na grzebanie zmarłych przy kościele Św. Krzyża, OO. misyonarze przystąpili w 1745

r. do założenia cmentarza grzebalnego na części swego folwarku, w polu za miastem. Ciągłe wojny i zamieszki wstrzymały na pewien czas urzeczywistnienie tego projektu. Dopiero gdy się pokój w kraju ustalił, OO. misyonarze przystąpili w 1781 r. do założenia cmentarza. Po upływie trzech lat poświęcił go dn. 9-go sierpnia 1783-go roku ks. Antoni Okęcki, biskup poznański i warszawski oraz kanclerz wielki koronny. Na owym cmentarzu znajdował się kościołek niewielki, katakumby, duże kostnice do dziś istniejące, i budynek dla plebana i służby, wszystko murowane. Pomimo, że cmentarz był poświęcony, parafianie świętokrzyscy nie chcieli grzebać na nim swoich zmarłych, uważając sobie za „zniewagę“ być pogrzebionym w polu, za miastem, nie zas przy kościele. „Gdzie kto chrzest św. otrzymał, śluby dozgonne wykonywał — tam też kości jego po śmierci winny spoczywać“ — mawiano ogólnie. OO. misyonarze, chcąc udogodnić konduktom żałobnym łatwe dojście do cmentarza i zarazem nadać formę religijną miejscu smutnych obrzędów, wystawili Bożą Mękę, jako drogoskaz przy gruntach ornych i drogach narożnych, na dzisiejszej ulicy Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej. Czy figura rzeczona była wystawiona przy zapoczątkowaniu zakładanego cmentarza w r. 1745, czy też przy jego poświęceniu w 1783 r., a może nieco później, trudno tego dociec, w żadnych bowiem aktach ani dokumentach niema o tem wzmianki; to tylko pewna, że krzyż wystawiony w tem miejscu przy niskim płocie, między topolami rozłożystemi i przy głębokim rowie do ścieku wody z szosy, stał jeszcze po zamknięciu cmentarza w 1836 roku i dotykał ogrodu p. Hosera. W czasie grasującego morowego powietrza w mieście, lud palił światło pod figurą, wieczorami zaś śpiewał pieśni błagalne o odwrócenie klęski.



**Dwór Kościuszków w Mereczowczyźnie.**
(patrz art. p. t. „Matka Kościuszki“.

Gdy krzyż ten, spróchniały ze starości, obaliła wichura, p. Hoser wystawił w tem miejscu nowy krzyż drewniany. Godzi się tu wspomnieć, że później, oprócz mieszkańców, szczerze zaopiekowali się, figurą tragarze dworca kolei warszawsko-wiedeńskiej, za sprawą Szklankiewicza, szwajcara kolejowego. Za pieniądze składkowe sprawili oni balustradę żelazną, postawili dwie latarnie na żelaznych słupkach, w których paliło się zawsze światło, i utrzymywali w należytym porządku jedyną podówczas pamiątkę religijną na wspaniałej dziś ulicy Marszałkowskiej, która w owych czasach prawie cała była pustą.

Przy wzroście miasta, przed rozpoczęciem budowy domu nr. 99 na ulicy Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej (17 lat temu), krzyż przeniesiono na ulicę Nowogrodzką wprost Wielkiej i ustawiono go w zagłębieniu, jakie utworzyło się z kawałka gruntu, odciętego z ogrodu p. Hosera.

W tem nowem miejscu, schludnie utrzymywanem, w otoczeniu drzewek i światła jarzącego się dniem i nocą, gorliwość religijna przybrała wśród pobożnych większe rozmiary. Do krzyża tego odbywały się procesye na Boże Ciało i inne uroczystości kościelne, a lud wierny zginał kolana, zanosząc korne modły do Zbawiciela.

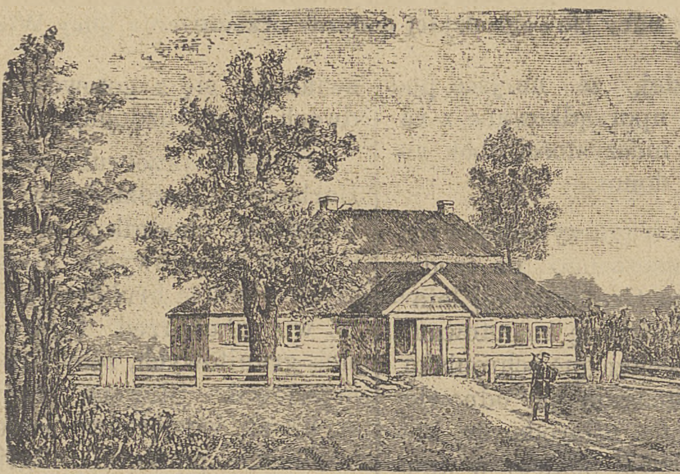
Znany powieściopisarz i poeta Kazimierz Laskowski (El.) w zbiorku swoich „Wierszy“ wydanym w 1900-nym roku pisał między innemi:

*Na „Nowogrodzkiej“ przy parkanie*
*Stoi pasyjka z Bożą Męką —*
*Krzyż prosty, drzewny — co przed laty*
*W mazurskich piaskach rósł sosenką.*

*Co wieczór gną się tu kolana,*
*Co wieczór szepcą wargi drżące...*
*A krzyż... otwiera swe ramiona,*
*Drewniane skrzydła swe skrzypiące,*
*I tuli się do tych, co smutni,*
*I koi żale tym, co łzawi,*
*I biednych krzepi i na życie*
*Całemu miastu błogosławi!*

Ale nad tą Bożą Męką zawisło chyba jakieś fatum, gdyż po kilku latach, znów figurę potrzeba było przenosić w inne, dogodniejsze miejsce.

Dla udogodnienia komunikacyi z dworcem kolei Warszawsko-wiedeńskiej, przedłużono ulicę Wielką do alei Jerozolimskiej, przez ogród p. Hosera. Krzyż, stojący w tem miejscu, znalazł się na środku nowo przeciętej ulicy. Z konieczności więc potrzeba było przenieść go po raz trzeci w dogodniejsze miejsce. W tym celu Paweł Hoser, ludowniczy, syn fundatora pamiątki religijnej, wraz z niżej podpisanym i jednym z obywateli ulicy Wielkiej, zajęli się wyjednaniem pozwolenia na przeniesienie tej figury na ulicę św. Barbary, pod mur dawnego cmentarza Świętokrzyskiego.



**Dwór Kościuszków w Siechnowicach.**
(patrz artykuł p. t. „Matka Kościuszki“.

Otrzymawszy pozwolenie, mieli zająć się, aby cicho i spokojnie, lecz uroczyście dopełnić przenosin Bożej Męki przez tych, którzy lat kilkanaście opiekowali się figurą, to jest: tragarzy kolejowych. Tymczasem snać brukarzom pilniej było w usunięciu krzyża, gdyż sami, niby to z polecenia p. inżyniera,

cichaczem nad rankiem, przenieśli go i postawili byle jako, w nieuporządkowanem miejscu, porzucając latarnie i balustradę w nieładzie.

Te samowolnie dokonane przenosiny wobec pozwolenia władz: duchownej i administracyjnej, zadrasnęły uczucia religijne w pobożnych mieszkańcach; tem bardziej, że miejsce pod krzyżem nie było uporządkowane z rupieci i wszelkich nieczystości obok nowo zbudowanego domu.



Krzyż przy ulicy Nowogrodzkiej podczas przedłużenia ulicy Wielkiej.

Z pomocą więc tragarzy kolejowych, krzyż na nowo ustawiono na środku dawnego grobowca Grabowskiej, latarnie wkopano i balustradę zmontowano. W tem nowem trzeciem już schronisku, Męka Pańska domagała się odnowienia. Znaleźli się też ofiarodawcy, którzy nie odmówili swej pomocy w upiększeniu pamiątki religijnej. P. Julian Lefas, majster ciesielski, zrobił ozdobne sztachetki drewniane dla zabezpieczenia roślinności naokoło krzyża. P. Jan Meyer, majster murarski, otynkował ścianę cementem po za krzyżem, na wysokości grobowca Grabowskiej. Bracia Hoserowie zasadzili dwa drzewka dębowe, oraz dwa gazony bukszpanu i założyli krzewy winne, dla zazielenienia ściany. P. Antoni Strzałecki, art. malarz, z gruntu krzyż odnowił i olejno pomalował sztachetki, balustrade i latarnię. Bracia Łopieńscy, właściciele zakładu artystyczno-bronzowniczego, obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i wizerunek Chrystusa, odnowili dukatowem złotem. P. Wincenty Pytlasiński, majster blacharski, oświadczył się z gotowością sprawienia dwóch latarń ozdobnych.

Podczas przebrukowania ulicy św. Barbary w październiku 1901-go roku urządzono chodnik z płyt betonowych i kostek granitowych. Jeden z najstarszych wiekiem brukarzy p. Hołdak, zrobił w bruku przed figurą krzyż z kostek granitowych, żeby i to miejsce lud uszanował. Słowem, kto mógł, przyczynił się wdzięcznem sercem do przyozdobienia pamiątki religijnej.

Obecnie krzyż na zakończeniu ulicy św. Barbary, stoi w cichem, jakby wiejskiem ustroniu, i na tle zieleni rozłożystych drzew cmentarnych rysuje się w pięknej perspektywie, mając po za sobą kościół św. Piotra i Pawła. Zdaje się, że pamiątce religijnej nie powinno już nic zagrażać do czwartego przeniesienia, figura nikomu nie przeszkadza. Niechże więc Boża Męka stoi długo w tem nowem, cichem, schronisku na pociechę mieszkańców, którzy kornie się modlą u stóp Zbawiciela i otaczają opieką a światłem wyrażają swoją wdzięczność. Za to dawni opiekunowie figury, tragarze kolejowi, obecnie jakoś nie śpieszą — jak niegdyś — do stóp krzyża ze światłem i modlitwa.

*Jan Starożyk.*

## Jak sobie pewien górnik z żandarmami poradził.

Prawdziwe zdarzenie.

**Opowiedział Małopolanin.**

Było to w marcu roku 1898. Od tygodnia cała Dąbrowa poruszona była głuchemi wieściami, że wielu ludzi żandarmi poaresztowali i wywieźli do więzienia w Piotrkowie, że odbywają się ciągle rewizye w mieszkaniach robotników i sztygarów, że żandarmi zaprzysięgli sobie zgnieść to gniazdo kontrabandy zakazanych przez rząd książek, pism i myśli. Jakoż rzeczywiście zebrali żniwo obfite, co tak ich zachęciło do dalszych poszukiwań, że bez wytchnienia prawie jeździli a jeździli i węszyli, czy gdzie nie znajdą jeszcze takich, co czytają jakie zakazane, bo prawdę szerzące książki.

W jedną z takich właśnie marcowych nocy, gdy wicher wył, jakby miliony dusz cierpiących jęczały, a deszcz rzęsisty nieubłaganie smagał ziemię, jakby chciał zatopić całą osadę, około północy podjechały dwie bryki przed domek górnika Ch..., który z dziada pradziada miał w Dąbrowie, w jednej z najstarszych dzielnic, własną chatę i pół morga gruntu.

Ch..., który po szychcie w kopalni znużony był zwykle tak bardzo, że zaraz po obmyciu się z kurzu i brudu i po posiłku chodził spać, tego wieczoru dostał właśnie świeże pisma i czytał je głośno wraz ze swoją kobietą, położył się więc późno i zasnął snem twardym. Ale jego kobieta sypiała, jak to mówią, jak „mysz pod miotłą,“ a kiedy się tak zdarzyło, że w domu były zakazane pisma i książki, to już wcale prawie z niepokoju nie spała, jeno nasłuchiwała a modliła się w cichości, aby Pan Bóg od nieszczęścia obronił. Kiedy usłyszała turkot i plusk przed domem, zerwała się z trwogą z pościeli i podbiegła do okna, nic jednak dojrzeć nie mogła, bo ciemność była wielka. Aż tu słyszy, idzie popod oknami kilku ludzi prosto ku drzwiom i po moskiewsku gadają, a tam z uliczki biegnie ku nim jeszcze dwóch — jeden trzyma latarkę w ręku.

Ścisnęło ją coś za gardło, że przemówić słowa nie mogła, po chwili jed-

nak podbiegła do śpiącego męża i, szarpnąwszy go silnie za ramię, zawołała:

— Jasiu, idą!

— Kto idzie? — zapytał rozespany Jan. — Zdaje ci się — dodał po chwili i zamknął oczy.

— Żandarmy idą, Jasiu — szeptała zrozpaczona kobieta. — Wstawaj, żandarmy, trzeba pochować te pisma.

— Żandarmy! — zawołał oprzytomniały Jan.

W tej samej chwili dało się słyszeć silne stukanie do drzwi i głos: „otwierać, hej, otwierać!" Jan jednym susem znalazł się przy kuferku, wyjął maleńki zwitek papieru, schowany na samym spodzie, i podał go kobiecie, dodając szeptem:

— Schowaj to, matko, za pazuchę, może nie będą szukali przy tobie. Jak mnie zabiorą, oddasz to temu, kto przyjdzie do ciebie i powie, że się nazywa „Ryszard." Będzie to wysoki blondyn, z brodą.

— Jasiu — prosiła kobieta — ciśnij te książki do pieca, jest ogień pod blachą!

— Już za późno. Jeszcze gorzej byłoby, jakby świeże popioły po pismach zobaczyli — odrzekł Jan.

— Otwierać tam żywo! — wołano z poza drzwi.

— Zaraz — odrzekł Jan, udając rozespanie w głosie i ziewając — zaraz, tylko wstanę. — Poczem zwrócił się do kobiety, ucałował ją gorąco i rzekł:

— Maryś, pamiętaj o mnie i o tem wszystkiem, co ci mówiłem. Dzieci chowaj po katolicku i po polsku, do tej podłej moskiewskiej szkoły nie posyłaj, ucz sama, kiedy umiesz niejedno. A pamiętaj, choćby cię dręczyli i piekli w ogniu, ani słówka nie piśnij!

Potem podbiegł do łóżka, gdzie spały jego dzieciny, Zośka i Antek pocałował każde i przeżegnał znakiem Krzyża świętego.

— Otwieraj gałganie! — wołano groźnie za drzwiami, bijąc z całej siły pięściami w deski.

— Już, już — odrzekł Jan. — To mówiąc, odsunął drzwi z zasuwy.

Do stancyi wszedł sołtys z latarką w ręku, stróż nocny, stary Grzegorz, znajomy Janów, a za nimi oficer i dwóch żandarmów. Za drzwiami jeszcze dwóch pozostało.

— Zapal światło — zawołał sołtys. Janowa zdjęła lampkę z gwoździa i zaczęła rozpalać zapałkę, drżała jej jednak ręka tak, że nie prędko zamigotało światełko.

Żandarmi ustawili się przy drzwiach, oficer podszedł do stolika, położył na nim tęczkę z papierami i zapytał, zwracając się do Jana:

— Ty nazywasz się Jan Ch?...

— Tak — odrzekł zapytany.

— Pióro tu u was jest? — zapytał oficer.

— Jest — odrzekł Jan i podał pióro i flaszeczkę z atramentem.

— Hm, to piśmienny! Tacy najgorsi! Poco was, bydło, pisać i czytać uczą? Chłop póty dobry, póki głupi! — Poczem zwrócił się do Jana:

— Ty górnik z kopalni „Paryż?"



**Krzyż na ulicy św. Barbary po odnowieniu.**
(patrz artykuł p. t. „Dzieje starożytnego krzyża w Warszawie".)

— Tak — odpowiedział Jan.

Oficer zapisał odpowiedź Jana na papierze. W tej chwili rozbudziła się mała Zośka i wyjrzała z pościeli, a zobaczywszy tylu obcych ludzi, zaczęła płakać. Matka poszła do niej i uspakajała dziecinę.

— Nu — rzekł oficer po chwili do Jana — przyznaj się! My wszystko wiemy, ty buntowszczyk, ty tam ludziom prawisz, że Polska będzie taka wielka i piękna! Przyznaj się, ty byłeś na schadzce u Antoniego Pytka, co?

— Nie znam żadnego Pytka — odpowiedział Jan.

— Nie znasz — podchwycił oficer. — No to poznacie się, on tam już siedzi na wozie w kajdanach.

— A książki u ciebie są?

— Są — odpowiedział Jan.

— Pokaż, pokaż brateńku!

Jan podszedł do skrzynki i wyjął z niej kilka książek i pism. Były to książeczki pod tytułem „Maciek w powstaniu", „o Jacku Koziku", „o Sobieskim", „Pieśni narodu polskiego" i parę innych.

Żandarmowi roziskrzyły się oczy na taki widok.

— Oh... całą czytelnię ma u siebie! No, będzie tobie, bratku, teraz literatura! — poczem zaczął pisać protokół, żandarmi zaś na skinienie oficera rzucili się do kuferków, do szafy, do łóżek wszystko przetrząsali. Nie darowali i dziecinom śpiącym, potem szukali w piecu i na piecu, w sionce, na górze pod dachem, jednem słowem wszędzie. Janowa drżała ciągle ze strachu i cicho łzy roniła, bo gdy głośniejszym płaczem raz wybuchnęła, Jan gniewnie na nią spojrzał, jakby jej chciał powiedzieć: „cicho, nie przystoją dobrej Polce łzy wobec moskiewskich oprawców. Cierpieć za swoje przekonania, za swoją wiarę, język i wolność trzeba z pogodą i spokojem."

Kiedy już rewizya była ukończona, oficer odczytał Janowi protokół i kazał mu się podpisać, a potem rzekł:

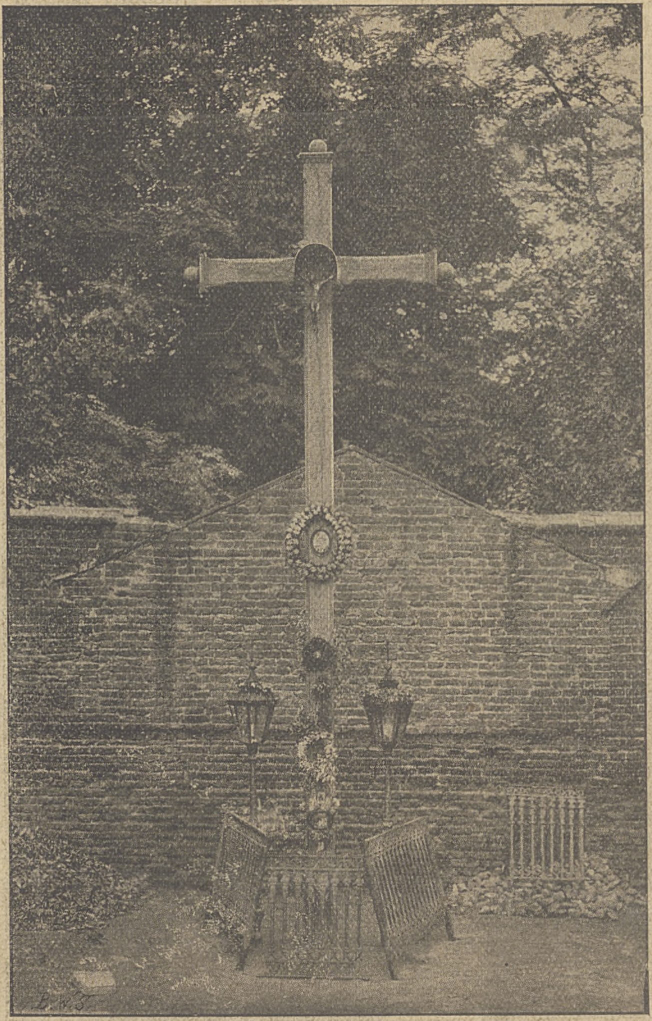
— No zbieraj się, zbawco Ojczyzny! posiedzisz w Piotrkowie, a potem zobaczymy.

Jan zaczął się odziewać, a choć był spokojny i cichy, znać, jednak było w jego oczach wielki smutek, szczególnie ilekroć spojrzenie jego pobiegło w stronę dzieciątek, wnet oczy mu mętniały

i wilgotniały. Kiedy już był prawie gotów, jeden z żandarmów podszedł do oficera i salutując zaanonsował:

— Wasze błagorodie ,on tam jeszcze ma w podwórku małą szopę, czy stodołę.

— Masz zabudowanie w podwórzu — zapytał oficer — ha?



**Krzyż przeniesiony na ulicę św. Barbary, przed uporządkowaniem miejsca.**
(patrz artykuł p. t. „Dzieje starożytnego krzyża w Warszawie").

— Mam — odrzekł Jan śmiało i dziwna rzecz, oczy jego jakoś dziwnie pogodnie zaświeciły.

— Tak, czegóż nic nie mówisz? A ty sołtys, padlec, ty o tem nie wiedział? Ot taki sołtys — durak! Poczem znów zwrócił się do Jana:

— A ty masz tam może książki, co?

— Są — odrzekł Jan pocichu.

Janowa chciała krzyczeć, że niema, ale on spojrzał na nią tak dziwnie, że oniemiała prawie.

— Prowadź! — zakomenderował oficer.

Za chwilę Jan otoczony z dwoch stron żandarmami, szedł do stodółki, która była na końcu podwórka. Przed nimi szedł sołtys, a za nimi pan oficer.

W stodółce leżało parę korcy węgla, rozmaite narzędzia górnicze, a w jednym rogu krowa.

— Nu, gdzie książki? — zapytał oficer.

— Pod dachem — rzekł Jan i wskazał na dziurę kwadratową wyciętą w pułapie z desek.

— Drabinę ty masz, polityku, co?

— Nie — rzekł Jan — ale ja i tak wejdę.

To mówiąc, schwycił się rękoma za boki wyciętego otworu, podciągnął się w górę na rękach i za chwilę był na strychu.

Wychylił się i zawołał na sołtysa: „Dajcie no latarkę." Sołtys podał mu latarnię, z którą Jan znikł na strychu.

Za chwilę zrobiło się ciemno; a uszu obecnych doleciał odgłos ciężkiego skoku z wysoka.

— Co to! — zawołał oficer w ciemnościach.

— Wychodź ty tam! — zawołał żandarm.

Ani słóweczka odpowiedzi.

— Co to, on uciekł chyba, gałgan jakiś — zawołał zaniepokojony oficer.

— Nie może być, wasze błagorodie — zaprotestował żandarm.

— Hej, wychodź stamtąd — zawołał drugi.

— Sołtys, biegnij po światło — zakomenderował oficer.

Za chwilę sołtys wrócił z lampką górniczą w ręce. Poświecono na górę — pusto, tylko dziura w dachu przykrywana zwykle zasuwą, odsłonięta, urągała żandarmom.

Oficer wpadł w wściekły gniew, spoliczkował sołtysa, żandarmów porozsyłał, ale daremnie. Kilka kroków za stodółką zaczynały się głębokie wykopy odkrywki kopalnianej. Tam to znikł Jan.

* * *

W kilka dni później do Janowej w południe przyszedł stary żebrak, obejrzał się po chacie, a widząc, że są sami, oddał jej kartkę od Jana, w której mąż jej donosił, że szczęśliwie przeszedł granicę, dostał się do Galicyi, i przy pomocy znajomego z Królestwa dostał robotę przy budowie kolei.

# Na cześć Orzeszkowej.

Wspomnieliśmy w numerze ostatnim o prologu, który wypowiedział p. Seweryn Wrzesiński na obchodzie czterdziestoletniej pracy Elizy Orzeszkowej. Ponieważ prolog ten podobał się powszechnie, zamieszczamy go dosłownie:

## *Prolog*

*wypowiedziany na cześć Elizy Orzeszkowej.*

*Są duchy takie, które Bóg z gromady*
*dusz wybrał, — wsparł je łaski swojej znakiem,*
*by mocą słowa znacząc dróg swych ślady*
*ponad przepaście orlim mknęły szlakiem*
*i prometejskie — na padoł — kagańce*
*niosły płomienne jako świecznik ludów.*

*Są duchy takie — wszechmocy wybrańce.*
*Nad tanie szczęście — wolą one trudów*
*twardą konieczność, nad spokój, — bój hardy*
*za świętość ognia rodzinnych ołtarzy:*
*ogień wykrzesze dłoń ich, gdy oskardy*
*ujmie i w głazach żnicz święty rozżarzy.*
*Nie pójdą one na szerokie szlaki,*
*kędy chadzają zysków chciwi męże*
*pod cielców złotych zaprzężeni znaki, —*
*kruszec i miskę mając za oręże*
*we walce z życiem; — pójdą drogą górną*
*kędy się orły czepiają ścian skalnych,*
*pójdą bez trwogi w dal siną i chmurną*
*smagane wichrem, albo dni upalnych*
*suchą spiekotą trawione. Ich drogi*

*to wielka, święta siejba niespożyta,*
*co zbożnym plonem z pól naszych wykwita*
*i nie cierń chwastu, ale pełne brogi*
*daje potomnym, by ci, gdy posucha*
*glebę skamieni — mieli pokarm ducha.*

*Tobie mistrzyni życia, dusz wybranko,*
*co strzegłaś progów narodów kościoła*
*i byłaś ognia świętego kapłanką*
*a w trudzie znojnym, w pocie twego czoła*
*wznosiłaś kamień na fundament grodu*
*naszych pokoleń i lepszej przyszłości, —*
*Tobie w ofierze zanosim narodu*
*śluby dziękczynne i słowa miłości.*
*I przejdą lata, tyle zórz zagaśnie*
*i słońc się tyle w świtach rozpłomieni*
*a może wiek nasz w lepszej dobie zaśnie, —*
*na wieki twoją pamięć opromieni*
*dar twego plonu zżęty na tym łanie,*
*co ciebie widział, gdy o wczesnym świcie*
*wstałaś, — czuwając, aby winobranie*
*dało potomnym: pokarm — zdrowie — życie.*

*Że byłaś duchem, wybranym z dusz grona*
*lud swój krzepiącym mocą twych uniesień, —*
*że znicz swój niosłaś w zimne skrzepłe łona*
*Twojej współbraci, — za to — dzisiaj w jesień*
*Twego żywota — w plonodajnej dobie,*
*naród nasz pokłon i cześć niesie Tobie.*

*Seweryn Wrzesiński.*

*Poznań,* 28 października 1906.

# Kat.

Kat był w największem poniżeniu u nas; okazuje to przysłowie XVI wieku:

*„Kat ostatni urząd.“* [1])

Dubrawski przytacza [2]), że Wrocławianinowi w jednem miasteczku polskiem skradziono 500 czerwonych złotych. Schwytano złodzieja. Sędzia i radni miejscy nastawali, aby ów Wrocławianin, jako oskarżyciel, prawa dopełnił, i własnemi rękoma na szubienicy złodzieja obwiesił, a jeżeliby niechciał, będzie obwieszon od złodzieja, jeśli tego złodziej dokonać zechce. Wyrzekał się Wrocławianin i straty, musiał jednak dopełnić przepisu, po dokonaniu którego, ani Kazimierza Jagiellończyka, króla polskiego, ani Władysława, czeskiego, dyplomata, uwolnić go od plamy, jaką się okrył, nie mogły, i biedak żadnych godności miejskich, ni senatorstwa otrzymać nie mógł: w ustroniu ziomkom swym obmierzły umarł.

Miejsce najsławniejsze nauką katów w Polsce, było Biecz w Podgórzu, i tam najłatwiej w tem rzemiośle i najprędzej wyzwalać się mogli, gdyż nigdzie więcej, jak w tej górzystej części kraju nie bywało egzekucyj na rozlicznych rozbójnikach.

Bywały zdarzenia także, że kata, przeznaczonego do wykonania wyroku, zabijano, ztąd wprowadzono zwyczaj, że dawano dwóch ludzi w zakład bezpieczeństwa oprawcy, i nawet otaczano go strażą, aż do miejsca, gdzie miał stracić winowajcę [3]).

U nas zły kat i oprawca był karany.

O ile ze starożytnej pieśni polskiej ludu widzieć możemy, kat, mając dokonać wyroku na zbrodniczej dziewce jeżeli ta na jego żądanie oddała mu rękę, ślub z katem uwalniał ją od kary zasłużonej. Taki przykład mamy w pieśni krakowskiej, gdy dziewka własne utopiła dziecię, i wyrokiem sądu na śmierć skazaną została.

*Wziął ci ją młody kacik za rączkę,*
*Wyprowadził na łączkę.*
*„Chceszże ty Maryś moją być?*
*Mógłbym ja cię od tej męki wyzwolić?“*
*„Oj! nie była moja matka królową,*
*I ja też nie myślę być katową.“ “*
*Wziął ci ją stary kat pod boczki,*
*Wtrącił ją we Wisłoczek głęboczki.*

Był zwyczaj, jak mówi T. Czacki, przez niektóre magistraty miejskie tolerowany, że jeżeli jaki hultaj bezżenny, wyprowadzony na karę śmierci, poruszył serce której z patrzących dziewczyn, i ta mu swój rańtuch rzuciła na głowę: przebaczano, i zaraz do ślubu tę parę wiedziono.

Zwyczaj ten w żywej pamięci został u Górali ruskich, Huculów, w Karpatach od Bukowiny. — Między r. 1828 a 1832 dziewka jedna pokochawszy opryszka, rzuciła nań swój rańtuch, ale to go nie uwolniło od szubienicy.

To więc, co pieśń mówi i zwyczaj dawny, zasługuje na uwagę, bo mają z sobą wielką łączność.

Był zwyczaj u nas, że jeżeli kat winowajcę ciął nieszkodliwie (a co się zdarzało), ten mógł uciec z miejsca kary, i ukryć się kilka miesięcy: unikał powtórzenia kary. Znałem osobiście olbrzymiego składu ciała szlachcica, co za zbrodnie wedle prawa był na śmierć skazany. Kat miał mu ściąć głowę: szlachcic niepozwalając sobie ani rąk krępować, ani oczu zasłonić, sam przykląkł. Właśnie przyświecało słońce, po cieniu więc dojrzał już zamach katowskiego miecza; porywa się w tej chwili, i odbiera głęboką w plecy ranę. Ale nadzieja ocalenia życia dodaje mu siły; ucieka do pobliskiego kościoła, i w nim bezpieczną uchronę znajduje. Chodził później ten sam szlachcic o żebranym chlebie; słyszałem, jak prosząc, zawsze zaczynał temi słowy: „Wspomóżcie biednego szlachcica, jestem ten, co mnie kat ciął a nie zabił“.

Ze skazanych na śmierć, gdy kto oświadczył chęć zostania katem, i oprawcą drugich, uwolniono go od kary. — Tak w Galicyi po roku 1794, w napadzie Denyski, jeden ze złapanych, nazwiskiem Górski, ofiarował się za oprawcę dla swych towarzyszów, i uwolniony żył jeszcze w roku 1834.

Ubiór kata była kurta z pąsowego sukna, i płaszcz takiż: ale nie zawsze używali tego stroju. Jan Ostroróg, za czasów Kazimierza Jagiellończyka, narzekał, że kat ubiorem nie różnił się wcale: „Nierządnice“, mówi, „niczem się nie różnią od żon prawych, ani kat od innych ludzi. Kat z mieczem, więc woźny z kijem niech zawsze chodzą“.

Rozmaite były kary za rozmaite przestępstwa, których kat dopełniał.

Rozszarpywanie końmi dostrzegamy w XIV wieku. Ziemowit, starszy książę całego Mazowsza, zmarły 1381 roku, obwinionego młodzieńca, o związki z żoną swoją, żywcem rozszarpać kazał końmi. [4])

Klonowicz w „Worku Judasza“ pisze takoż, jak złapano w Węgrzech, w miasteczku Pezinku, zbrodniarza, co ludzi Turkom sprzedawał: z rozkazu króla przywiązanego do dwóch wozów, a konie gnano w różne strony, rozdarto jak śledzia. Wspomina przy tem, że bez wozów można końmi rozszarpać. Ale już w tę dobę takiej kary nie używano w Polsce.

Dawniejszą od tej była kara rozsiekania, której używał Bolesław Śmiały, bez katów.

Roku 1237 Żydzi w Krakowie zabicie dziewki i wysączenie jej krwi, gdy się na torturach do zbrodni przyznali, szarpani na rynku kleszczami, wywiezieni pod szubienicę, po odcięciu

---

[1]) Nazwa sama poszła w pogardliwe znaczenie, zkąd przysłowia u Rysińskiego: *„Sumienie gorsze kata.“* — *„Niech go kaci porwą.“* — *„Ki kat“* (miasto djabła.) — *„Czy go tu kaci nanieśli.“* — Kat! wykrzyknikiem używany, n. p.: Kat myśli o pieniądzach, albo i o złocie (statut Jana Dzwonowskiego, z czasów Zygmunta III.) *„Kat ci go wie, mój panie.“* (Gęsia wojna tegoż.)

[2]) Hist. Boem., lib. XXXI., p. 260.

[3]) O lit. i pols. prawach. T. Czacki, T. 2., str. 99.

[4]) A. Naruszewicz T. VII.

rąk, żywi nożem przebici, poświartowani, a ćwierci na słupach przybito [5]).

Za Zygmunta Augusta córka matkę zabiła; kleszczami więc ją szarpano. zaszyto w worze, i utopiono w Wiśle [6]).

Ten sam rodzaj śmierci zachowała nam pieśń ludu mazowieckiego. Stary starosta przekonany o niewiarze żony Kasi, wyrzekł wyrok. Zaraz przeto:

*„Kasię zamknęli w komorze,*
*Potem zawiązali w worze,*
*I zrzucili z okna wysokiego,*
*Do Dunaju głębokiego.“*

Pieśni ludu, opisujące karę winnych dziewcząt, mówią o dzwonieniu w dzwony na zebranie sądów. Przestępna miała rąbek na głowie, bo już wianka nie wolno nosić, stawała przybrana w czerwieni, w barwie takiej, jako i kat.[7])

Kiedy u nas tortury w użyciu były, kat z oprawcami swymi rozporządzał niemi, i stosownie do rozkazu sędziego odnawiał męczarnie. Dla kata była to czynność gorsza od ścięcia, lub powieszenia winowajcy. Najwięcej też miał zatrudnienia z czarownicami, z których wyciskano prawdę torturami. Miały tortury właściwe wyrażenie u nas, to jest: „wziąść na męki, lub na pytki.“

Gdy skazany na śmierć odczytany miał wyrok, sąd zamawiał kata. Na kilka dni przed karą, delikwent miał dostarczanem wszystko, czego zażądał, odbierał odwiedziny, bo więzienie jego stało otworem dla tych, co go widzieć chcieli. W dzień tracenia miejsce kaźni usypywano piaskiem przed ratuszem miejskim. Sprowadzano wyspowiadanego zbrodniarza; młodsi miejscy, urzędnicy, żołnierze, otaczali w koło; kapłan wchodził we środek, urzędnik sądowy, a za nim kat. Po ścięciu ciało kładziono w trumnę, pomiędzy kolana głowę, i odwożono lub na cmentarz, lub do sklepu pod jaki kościół. Lud chwytał piasek ze krwią chciwie, szczególniej szynkarze, którzy uważali tę zaprawę do trunków, za sprowadzającą niesłychany pokup.

Przy ratuszach miejskich zwykle u nas tracono, i dla tego stały kamienne pręgierze, i leżały wielkie kamienie. We Lwowie, do niedawna, w rynku przed ratuszem, stał taki kamień. Przed poznańskim ratuszem stoi dotąd pręgierz kamienny, postawiony roku 1535. Pod nim stawiono na widok publiczny złoczyńców, na śmierć haniebną skazanych, a potem ryto na nim rok egzekucyi. [8])

Łamanie kołem, kat dopełniał własną ręką: w wieszaniu winowajcy mógł się wyręczyć swoim oprawcą; trup wisiał zwykle dopóty, dopóki go krucy i wrony nie zjadły. Lud nasz kradł trupy takie do czarów, dla dostania mózgu, tłustości i kości świeżych.

Skazany jeżeli uciec zdołał do kościoła, jeżeli co bardzo ważnego obiecał uczynić dla miasta, jeżeli Żyd chciał chrzest przyjąć, darowywano niekiedy karę. Mój ojciec w swojej młodości był obecnym (były to początki panowania Stanisława Augusta), jak na stós z łuczywa i słomy wprowadzono Żyda. Jakaś znakomita pani namawiała go, że żyć będzie, jeżeli chrzest przyjmie; już mu wtedy kat palił rękę, kiedy Izraelita spokojnie odrzekł: „Wać nie Ewa, ja nie Adam; — a Wać (do kata) rób, co ci należy“. Jakoż zaraz przykryto go słomą i drzazgami, i wkrótce zgorzał w płomieniach.

Oskarżyciel na winnego, swoim kosztem winien kata sprowadzić; jeżeli tego nie dopełnił, wypuszczono często skazanego, ażeby sąd kosztów na kata nie wydawał.

Szlachcica karano tylko mieczem, najczęściej o nocnej porze, i to w sklepie, lub na dziedzińcu zamkniętym. Nazajutrz rozgłaszano, że umarł, i rodzina sprawiała mu pogrzeb z nabożeństwem i przy dzwonach.

W Kórniku, w Poznańskiem, żył w roku 1834 kat stary, mający 80 lat wieku. Ten dowodził stale przyczyny, dlaczego tyle złych ludzi, bo srogiej kary i mąk (tortur) niema. Mnóstwo przechował okropnych torturowych narzędzi.

„Byli ludzie w moich ręku“, mówił, „ tak twardzi, że za pierwszą męką nie chcieli się przyznać, ale powoli za drugą i trzecią wycisnąłem prawdę. Jak tu nieżałować, że nie palą czarownic! a teraz ludziom szkody czynią; a bywało, jak wolnym ogniem począłem skwarzyć czarownicę, na własne oczy widziałem, jak djabeł brał duszę, a tu zaraz grad z burzą się zrywał“. [9])

*K. W. Wojcicki.*

[5]) Rękopism 1526.
[6]) Pandora Obodzińskiego.
[7]) Pieśni Białochrobatów 1836, T. I.

[8]) Patrz rycinę w nr. 44-ym „Pracy.“
[9]) Z ustnego podania Tytusa hr. Działyńskiego.

## Ideał szczęścia.

Szczęście to ów promyczek Boży, co świta chwilami z za czarnych chmur, ów uśmiech, co w życiu rozprasza mgły, owa chwila, gdzie dusza, nieraz znękana trudem i znojem, oddycha swobodniej pod skrzydłem spokoju.

Szczęście w życiu, szczęście najwyższe, idealne, szczytne, to droga od Boga wybrana, ścieżynka czasem stroma i ciężka, lecz wiodąca do szczęścia prawdziwego. Szczęście to spokój w rodzinnym gronie, wzajemna miłość, pomoc, pociecha. Gdzie Krzyż u podwoi, gdzie Bóg zawsze celem, gdzie się łączą praca i modlitwa, tam szczęście pewne, jedyne na ziemi.

I choć nieraz skrzyżują się dwie drogi, ból i cierpienie staną w poprzek ścieżki, szczęście panować tam nie przestaje, ból nie uniesie w przepaść, a Pan wspomoże. Szczęście na ziemi, to miłość. Tą drogą bez zwątpień, z wiarą i ufnością, dojdziemy kiedyś za pomocą Bożą, do szczęścia, co żyje w nas ideałem szczęścia, jedynie niezawodzącego, do szczęścia, które trwa na wieki!

*L. F.*

## Pogrzeb Rakoczego.

**(Własna korespondencya „Pracy.“)**

**Budapeszt**, 29-go października 1906

Z niebywałym dotąd przepychem sprowadzono popioły jednego z największych bohaterów węgierskich, aby go pochować na ziemi ojczystej, za którą walczył, aż wreszcie zmuszony wypadkami, udał się na wygnanie do Polski, a następnie do Turcyi, gdzie też życia dokonał.

Po 195 latach udało się patryotom wyrobić pozwolenie sprowadzenia zwłok jego do kraju i znieść ustawę sejmową; kraj orzekł go niegdyś banitą i zdrajcą kraju.

Z honorami książęcymi wieziono relikwie Franciszka II Rakoczego, a od samej granicy przyjmowały je niezliczone deputacye, prowadzone przez ministrów i pierwszych magnatów kraju.

Wreszcie w ubiegłą niedzielę wjechał na dworzec budapeszteński pociąg wiozący zwłoki Rakoczego i towarzyszy jego wygnania, jak matki jego Ilony Zrinyi, ojczyma hr. Thökölego i innych.

Nieprzejrzana rzesza delegatów, z ministrami na czele, uniwersytet, duchowieństwo katolickie i ewangielickie, senat sądowy i przeszło półmilionowy tłum ludu — wszystko to we

wspaniałych strojach narodowych oczekiwało przybycia trumień. Za pojawieniem się ich, odkryły się wszystkie głowy, pochyliły się sztandary, a z piersi obecnych zabrzmiał potężny hymn węgierski, śpiewany jednocześnie na milowym blisko obszarze.

Pochód począł się posuwać zwolna



Mistrz ceremonii hr. Hadik otwiera pochód.

przez prześlicznie przystrojone ulice, przez bramy tryumfalne, wśród szpaleru tysiącznych stowarzyszeń i korporacyj.

Za mistrzem ceremonii, który jechał na przedzie ze złotą buławą w dłoni, przejeżdżały dziarskie banderye coraz to innych jeźdźców, w przecudnych strojach, w drucianych koszulkach i misiurkach tureckich, z kopiami u boku lub z krzywemi szablami w rękach.

Za nimi wieziono starożytną chorągiew Rakoczego z obrazkiem Matki Boskiej i napisem: pro libertate!

Potem olbrzymi zastęp paziów niósł na purpurowych poduszkach insygnia wygnanego księcia, znów banderye i magnaci, dzierżący w dłoni proporce wojenne, zdobyte przez Rakoczego na Niemcach, a witani z entuzyazmem przez tłumy, a na ostatku, tuż przed duchowieństwem rycerz, cały w zbroi ze spuszczoną przyłbicą.

Wreszcie potoczyły się trzy wozy żałobne, wiozące drogie Węgrom zwłoki. Pochód doszedł do bazyliki i wkroczył w nią przy biciu dzwonów i śpiewie „Te Deum".

Ustawiono trumny na katafalkach i rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez kardynała Samassę, w otoczeniu biskupów i prałatów.

Po skończonem nabożeństwie, uczestnicy tegoż wyszli, a do kościoła zaczęła napływać olbrzymiemi zastępami publiczność, cisnąca się do trumien.

Tymczasem w ewangielickiej świątyni biskup luterański głosił w płomiennej mowie zasługi Thökölego.

Wieczorem zabrała młodzież akademicka trumny na ramiona i w tym samym porządku jak rano odniosła je na kolej przy dźwiękach muzyki i pieśni narodowych.

Pociąg ze zwłokami bohaterów odjechał do Koszyc, stając kilka razy na większych stacyach, na których deputacye z pobliskich komitatów składały wieńce na trumnach.

Wreszcie dojechano do Koszyc, gdzie odbył się taki sam jak w Budapeszcie pochód uroczysty do katedry, w której złożono ich popioły.

*Ł. Ł.*

# Pielęgnujcie pieśni narodowe!

Mowa składa się tylko w połowie ze słów i zdań, które podaje poeta, gdyż drugą połowę, tworzy muzyka żywego słowa, która jest równorzędnym pierwiastkiem mowy. Jednak życie wewnętrzne, wzruszenia duszy ludzkiej, objawiają się nie tylko za pomocą mowy, ale także przez pieśni, bijące tętnem życia narodowego. Dlatego też pieśń narodową powinno się cenić wysoko, gdyż w niej odbija się charakter, dusza narodu. Wiemy, że każdy naród ma swoje pieśni, a pieśni te, stworzone wśród różnorodnych warunków życiowych i społecznych, charakteryzują każdą narodowość. Wsłuchajmy się np. w pieśni narodowe szwedzkie, angielskie, francuskie, włoskie — i porównajmy je z sobą. Tak, jak charaktery tych poszczególnych narodów różnią się między sobą — tak i w ich pieśniach znajdziemy ogromne różnice. Każdy z wyż wymienionych narodów pielęgnuje swe pieśni i z dumą widzi w nich patryotyczny pierwiastek, łączący objawy uczuć i myśli wśród jednostek.

Jakże u nas są pieśni narodowe pielęgnowane? Niestety, brak większego zamiłowania, a co gorsze, zobojętnienie dla tych pieśni jawnie spostrzegać się daje...

Przedewszystko — posiada pieśń ojczysta doniosłe znaczenie w obchodach narodowych. Czyż może uroczystość narodowa obejść się bez pieśni? Pieśń czyni zazwyczaj na szersze masy słuchających wielkie wrażenie i jest podnietą szlachetniejszych zapałów i porywów. Grecy w czasie wojen wysyłali na pole walki śpiewaków, którzy pieśnią narodową rozgrzewali ziomków do walki; wojska polskie z pieśnią na ustach atakowały wroga, a pieśń, dodając im odwagi i męstwa, przyczyniała się do pokonania nieprzyjaciela.

Najlepiej możemy wpłynąć na odrodzenie i rozbudzenie zamiłowania do pieśni ojczystej przez zakładanie drużyn śpiewackich. Takie drużyny śpiewackie znajdą bez wątpienia wielką sympatyę u społeczeństwa naszego. Dotychczas istnieją drużyny śpiewackie w większych miastach, jednak nie wszystkie te towarzystwa wywiązują się odpowiednio ze swego zadania, gdyż obojętność, połączona z brakiem poczucia, moralnie na siebie włożonego obowiązku u większej części wpisanych członków, odbiera kierownikom chóru możność systematycznego ćwiczenia i należytego wykonywania utworów. Jest to niestety głęboko zakorzeniony, uwłaczający nam zwyczaj, co świadczy o niezdawaniu sobie należytej sprawy z niespełniania szlachetnego obowiązku.

Porównując n. p. niemieckie Towarzystwa śpiewackie z naszemi, mimowoli zazdrości się Niemcom, którzy sympatyczną pracą nad pieśniami narodowemi dochodzą do pięknych rezultatów. Z jaką dumą, zadowoleniem i punktualnością spieszy Niemiec na 2-godzinną próbę śpiewu!

W pomniejszych miejscowościach, gdzieby się okazał brak chętnych lub brak materyałów głosowych, możnaby taką drużynę ograniczyć do liczby podwójnego kwartetu. Byłoby to naturalnie rzeczą kół miejscowych, moralnie zobowiązywać członków drużyny, aby próby mogły się odbywać systematycznie i punktualnie, gdyż tylko w tym wypadku możnaby liczyć na lepsze rezultaty.

Doświadczenie poucza, że gdy chętni członkowie ześpiewają się jako tako i mają obszerniejszy repertuar pieśni,

— nabierają większego zamiłowania i animuszu do śpiewu, a każda „godzinka próby‘ staje się przyjemnym odpoczynkiem nerwów i wytchnieniem po pracy.

Aby rozwój takiej drużyny śpiewackiej był zapewniony, należy jej dać pewne punkty wytyczne, a zarazem wewnętrzną autonomię, nie krępującą drużyny w jej pracy. Celem takiej drużyny będzie systematyczne uprawianie i pielęgnowanie pieśni narodowych, z uwzględnieniem ojczystych pieśni ludowych. Będzie to więc wielki krok, uczyniony naprzód dla dobra sprawy narodowej.



**Wóz żałobny Rakoczego.**
(patrz artykuł p. t. „Pogrzeb Rakoczego“)

# *Zorzeńka.*

*Zorzeńko, Zorzeńko,*
*Gdzieś się kolebała,*
*Żeś bóle i smutki*
*Ludzkie podsłuchała —*
*Że umiesz wyśpiewać,*
*Co jest w sercu na dnie*
*I poznasz te myśli,*
*Których nikt nie zgadnie?*

*Zorzeńko serdeczna,*
*Z jakiej też kądzieli*
*Twe srebrne niteczki*
*Uprzędli Anieli,*
*Bo snujesz się cudnie*
*Od ziemi do nieba*
*I ludziom do szczęścia*
*Twej przędzy potrzeba?*

*Zorzeńko czarowna,*
*Skąd ten urok w tobie,*
*Że wspomnień obrazy*
*Umiesz odbić w sobie?*
*Wszystko, co minęło,*
*W twej nucie odżyje,*
*A serce twą dumkę,*
*Jak kwiat rosę pije.*

*Zorzeńko ty polska,*
*Skarbie nieprzebrany,*
*Ty ducha nam wzmocnisz,*
*Koisz krwawe rany.*
*Ty przyszłość kolebiesz*
*I serce rozgrzewasz,*
*O wielkości Polski*
*Śpiewasz, śpiewasz, śpiewasz.*

*Któż ciebie nie kocha,*
*O ludowa pieśni!*
*Któż z tobą pół życia*
*W zadumie nie prześni?*
*Zasiewaj, Zorzeńko,*
*Gaje, łąki, pola,*
*Złącz serca jednością,*
*A zniknie niedola!*

# Poczta za dawnych czasów.

Najdawniejszy ślad poczty w dawnej Polsce spotykamy za panowania Bolesława Chrobrego, który postanowił, żeby wszystkie miasta dawały konie albo ludzi pieszych do rozwożenia poleceń władzy. Następcy jego rozciągnęli te obowiązki pod nazwą podwód i na wsie, za wynagrodzeniem pieniężnem. Stałe urządzenie podwód nastąpiło za Zygmunta Augusta (w roku 1564), który utrzymywał także własnym kosztem pocztę zagraniczną, szczególniej z krajami włoskiemi. Stefan Batory w roku 1583 nadał przywilej na pocztę zagraniczną Sebastyanowi Montelupi; w jego rękach zostawała odtąd bez przerwy, a spadkobiercy mieli ją jeszcze za panowania Jana Kazimierza.

Zygmunt III. wszystkie dochody z podwód przeznaczył na urząd poczt w Koronie i na Litwie w roku 1620, ustanowił dozór, zaprowadził administracyę i przepisał porządek, aby miasta główniejsze odbierały co tydzień wszelkie zawiadomienia i listy. Przepisy te uzupełnili synowie jego: Władysław IV, w roku 1647 i Jan Kazimierz, w roku 1659. Jan III Sobieski w latach 1677 i 1678 rozwinął więcej w szczegółach prawa i obowiązki poczty w całem państwie, a August II, wstąpiwszy na tron, rozszerzył zakres jej działania. Lecz wojna szwedzka w r. 1702 wszystko to zniszczyła; wznowił wprawdzie zakłady pocztowe August III, właściwie jednak dopiero Stanisław August zaprowadził pewien ład i porządek pod tym względem, ustawami 1766 i 1777 roku, dokładając wszelako z własnych funduszów na utrzymanie poczty.



**Duchowieństwo ewangielickie i wóz żałobny z hr. Tökölym.**
(patrz artykuł p. t. „Pogrzeb Rakoczego“)

Za rządu pruskiego wprowadzono pierwszy raz sztafety, ekstrapoczty, kuryerów i listonoszów (bryftregierów) w r. 1799, a za Księstwa Warszawskiego powstały dyliżanse w r. 1808, przynosząc znaczny dochód skarbowi.

Podług ustaw polskich nie wolno było zabierać koni bez listu podwodnego, oznaczającego opłatę od każdego konia, wozu i przewodnika. Zabroniono wymijać podwód pocztowy pod karą zapłacenia podwójnej szkody.

Podwody rozwoziły po kraju osoby i listy urzędowe. Do prywatnych korespondencyi możni panowie utrzymywali posłańców konnych, którzy z nadzwyczajną szybkością rozwozili listy. Pomiędzy Wilnem a Warszawą, oraz Krakowem była już w roku 1583 stała poczta, która przechodziła co dni dziesięć. Później urządzono trakty stale z Grodna do Lublina i po całej Rosyi. Wszystkie poczty wewnątrz kraju musieli odbywać pocztylioni konno lub pieszo.

Stanisław August szeregiem przepisów zapewnił wygodę dla podróżnych, ustanowił taksę od listów i koni, kazał drukować instrukcye, polecił wydać kwity za wszelkie opłaty. Domy pocztowe uwolnił od wszelkich kwater i załóg żołnierskich, zabezpieczył od gwałtów; jadącym kazał przed pocztą ustępować z drogi; mosty i drogi utrzymywał w dobrym stanie. Poczta przychodziła codziennie, z wyjątkiem czwartków i niedziel, odchodziła cztery razy tygodniowo: w poniedziałek, środę, czwartek i sobotę.

Pierwsze skrzynki pocztowe zawieszono w Warszawie w roku 1806: na ulicy Długiej, przy domu Elerta, na Senatorskiej w domu Blanka, oraz na Nowym-Świecie. W roku 1815 powiększono liczbę poczt dwa razy na tydzień, w środę i niedzielę, zaczęła odchodzić poczta wozowa do Berlina na Poznań. Przy traktach, mających drogę brukowaną, stanęły wygodne domy pocztowe dla podróżnych. Przepisano mundur i znaki dla poczty i założono szkołę dla pocztylionów, gdzie uczyli się jazdy konnej i gry na trąbce.

## Złote myśli.

*Klejnoty są to rzeczy, które pierwej się kupują niż inne, i sprzedają się pierwej niż inne.*

* * *

*Nieszczęście tylko temi drzwiami wchodzi, które mu otwieramy.*

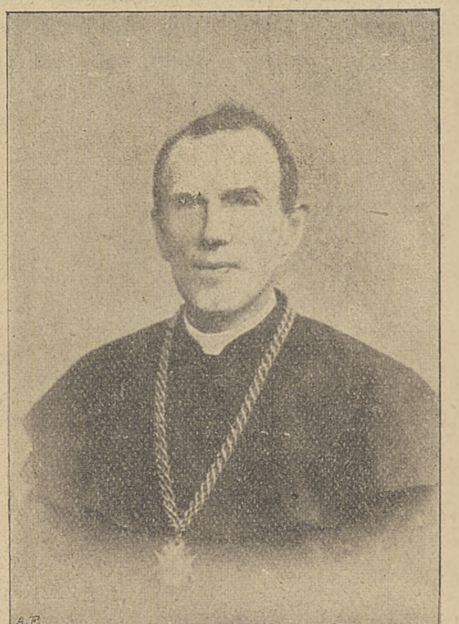
* * *

*Zazwyczaj ludzie zaczynają czuć zapach kwiatów dopiero wtedy, gdy więdnąć zaczynają.*

## Sp. ks. kanonik Fryderyk Marwitz.

Zdrowie ks. Marwitza — o którego zgonie już donosiliśmy — zawsze było wątłe, a krótko przed śmiercią dostał on gwałtownego krwiotoku. Charakter i ducha polskiego nieboszczyka najlepiej znamionuje zapytanie, jakie po odzyskaniu przytomności wystosował do swojego lekarza. Oto nie badał, czy są widoki, że odzyska zdrowie, tylko pytał, w jakim żyjemy miesiącu, a usłyszawszy, że w październiku, zawołał: — No, to dzięki Bogu, że umrę w parzystym!

Nadmienić należy, że po śmierci kanoników, następującej w parzystych miesiącach, mianuje następcę biskup, podczas gdy w nieparzystych miesiącach rząd ma prawo prezenty i proponuje Niemca, nierzadko germanizatora.



**Ś. p. ks. kanonik Fryderyk Marwitz.**

Śp. ks. Fryderyk Marwitz urodził się 21-go stycznia roku 1847, na kapłana wyświęcony został 4-go maja roku 1873, u progu walki kulturnej. Mianowany wikarym w Wąbrzeźnie, wezwany został niebawem do boku śp. ks. biskupa Jana Nepom. Marwitza i od tego czasu stale mieszkał w Pelplinie, nasamprzód jako kapelan biskupi, a później jako radzca duchowny. Dnia 30-go lipca roku 1901 został mianowany kanonikiem.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj Mu świeci na wieki wieków!

Cześć Jego pamięci!

## Mieszkańcy wybrzeży.

(Dokończenie).

Szczur wodny ma wogóle podobne zwyczaje, tylko, że rzęsorek przekłada czyste wody i zamieszkuje najchętniej nad brzegami bystrych, górskich potoków, aż do samego ich źródła i nad małemi strumieniami płynącemi przez łąki, gruby szczur wodny woli pobyt na równinach, i rad gnieździ się nad ujściami płynących powolniej wód, choć nie brak go i w górach. Nory szczurów wodnych mają kształt kotła i podobne są do kretowisk, wznoszących się powyżej poziomu wód. Ukośne korytarze i przejścia prowadzą do nich od wody. Ujścia strumieni, których wody zanieczyszczone są przez wielkie pralnie, garbarnie i inne fabryki, są ulubionem miejscem igrzysk szczurów wodnych. Tam, gdzie dawniej gnieździły się raki pod oblanemi wodą kamieniami, lub igrały wesoło pstrągi, teraz wśród trzcin i błotnistego mułu gromadzą się obrzydliwe szczury. I tak, jak w latach, kiedy pojawia się mnóstwo myszy, można widzieć na polach kręte, w różne strony schodzące się mysie ścieżynki, tak samo, bacznie się rozejrzawszy, nad brzegami wód stojących, lub zanieczyszczonych strumieni, widzi się wyraźnie odznaczone drożyny, któremi biegają szczury. Nagle wynurza się szczur z wody, węszy i szuka, płynie do brzegu ku swojej drodze, która ciągnie się nakształt gościńca po obu stronach wody, zawiesza się na jakimś korzeniu, ogryza go lub pożera pochwyconą żabkę, następnie puszcza się swoją ścieżką, znika w podziemnem przejściu, ukazuje niespodzianie na powierzchni, rzuca się do wody, pływa — a potem znowu goni za zdobyczą. Urządza sobie istny stół jadalny z trawy na poskręcanych trzcinach, zajmujący długości 25—30 centymetrów, wzniesiony nad poziom wody na 6—8 cent. Podobny jest pod tym względem do wydry, która także w miejscach pobytu ma stałe jadalnie i tam często zaczaja się na nią myśliwy, jeżeli wyśledził jej zwyczaje. Szczury wodne robią niesłychane szkody w tamach i groblach; woda przesączając się przez wyżłobione przez nie przejścia, podmywa i burzy potężne nawet budowle z ziemi i kamieni.

Przyjemniejszy jest widok dwóch gatunków ptaków gnieżdżących się nad brzegami wód: *jaskółki brzegówki i zimorodka. Brzegówka* różni się od zwykłej jaskółki tem, że jej płaszcz nie jest czarno-błękitny, ale brunatny. Brzegówki gnieżdżą się najchętniej nad dużemi wodami, ale i nie gardzą

pobytem nad brzegami strumieni, o ile brzegi przedstawiają bezpieczne miejsce dla gniazda. W gliniastych, jak najbardziej stromych zboczach nadwodnych, osiadają liczne pary jaskółek i biorą się gorliwie do robienia otworów na gniazda. Silnemi dzióbkami wiercą szeregi okrągłych dziur, w łatwo ustępującym gruncie; gdy który z otworów wydaje im się nieodpowiedni, zabierają się wytrwale do wiercenia nowego. Zagłębienia te mają kształt podobny do niecki: jaskółki składają w nich pięć do sześciu białych jajeczek. Tam, gdzie grunt wybrzeża zbyt twardy, nie nadaje się do roboty otworów, brzegówka ściele gniazdo w szczelinach i dziurach skalistych i na nadwodnych, a nawet zdala od wody w dołach po piasku lub glinie.

Szybko i zwinnie uwijają się brzegówki wśród roju owadów, unoszących się nad wodami rzek, sadzawek i strumieni, tak samo jak jaskółki zwyczajne i dymówki. Grunt to dla nich najodpowiedniejszy do łowów; zwykle nie zapuszczają się dalej, zadawalają się krążeniem nad wodami lub w ich sąsiedztwie. Woda jest dla nich żywiołem niezbędnym do życia.

Uderzające przeciwieństwo z jaskółką stanowi zimorodek, żyjący samotnie i zazdrośnie pilnujący, żeby się w pobliżu nie osiedlił żaden towarzysz. Jak samego zimorodka, tak i jego gniazdo rzadko mogą oglądać ludzkie oczy i dlatego w starożytności i w wiekach średnich, najdziwniejsze baśnie krążyły o jego osobie. Zimorodki pod koniec marca lub w początkach kwietnia łączą się w pary,, i wyszukują miejsca na gniazda; budują je na wybrzeżach, wybierając ściany suche , chropowate i strome, nieporosłe trawą, do których nie może dostać się ani szczur wodny, ani łasica, ani żaden inny wróg ptasiego rodu. W takim gruncie, zimorodek wydziobuje okrągły otwór, mniej więcej na 30 — 60 centymetrów, poniżej szczytu mający zwykle w przecięciu 5 centymetrów — a głębokości od pięciu centymetrów do całego metra, i podnoszący się odrazu w górę. Otwór ten w głębi rozszerza się i tworzy okrągłą jamę, kształtem podobną do pieca, szerokości 10—13 centymetrów, wysokości 8 do 10 ct. I tak ptak wyściela ją rybiemi ośćmi, a na nich składa 6—7 bardzo dużych, prawie okrągłych jajek, które skutkiem przeświecającego przez nie żółtka, wydają się czerwono-żółte. Są to chyba najpiękniejsze jajka ze wszystkich ptasich jaj, gładkości i połysku niesłychanego, białością wyrównywające najpiękniejszej emalii.

Zimorodek sam jest jednym z najwspanialej upierzonych ptaków naszej strefy. Jest prawdziwą rozkoszą dla oczu, ale dla hodowców ryb widok je-



**Szczur wodny.**

go jest mniej pożądany, bo przechodzi on wszystkie inne ptaki zręcznością w łowieniu ryb, a przytem wybiera najlepsze sztuki.

Niemało trzeba się nasiedzieć, zanim się zdoła odkryć zimorodka i jego gniazdo. Życiu tych ptaków, przemieszkujących nad wodą, tak jaskółek



**Zimorodek.**

jak i zimorodków, zagraża mnóstwo groźnych nieprzyjaciół; więc dla obrony przed nimi, muszą kryć się i zabezpieczać rozmaitemi sposobami.

*M. G.*

## Nasze ryciny.

*Józef Gabowicz. — Głód.* Józef Gabowicz, jeden z młodszych lecz wybitnych rzeźbiarzy współczesnych, urodził się w r. 1867-ym w Łomży, jako syn bardzo ubogich rodziców. Trudną i ciężką była droga jego młodości; siłą woli pchał się po szczeblach sztuki, nieraz cierpiąc niedostatek. Ukończył akademię petersburską, następnie kształcił się w Paryżu, gdzie na ostatniej wystawie powszechnej w r. 1900 prace jego zwróciły uwagę znawców. Dzieła jego odznaczają się znakomitem modelowaniem i subtelnością wykonania. Rzeźba Gabowicza „Głód", której podobiznę dziś podajemy w illustracyi albumowej, jest jedną z najświeższych prac tego artysty.

# Humor i satyra.

## Kalendarzyk na listopad,

**obowiązujący w Rosyi.**

Słońce wstępuje w znak *„Nowej pożyczki"*.

**Odmiany księżyca.**

Pełnia . . . . . Pobiedonoscew,
Ostatnia kwadra . Stołypin,
Nów . . . . . . Witte,
Pierwsza kwadra . Ignatjew.

## Łamigłówka.

Kwadrat zastąpić literami tak, aby litery wstawione zamiast środkowych kwadratów, utworzyły pseudonim poetki polskiej.

o ■ o
o o ■ o o
o o o ■ o o o
o o o o ■ o o o o
o o o ■ o o o
o o ■ o o
o ■ o

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) Pieśń liryczna.
2) Bogini nauki i wiedzy.
3) Minerał.
4) Wybór członków przez resztę zgromadzenia.
5) Bohater mitologiczny.
6) Poeta grecki.
7) Pierwiastek chemiczny.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 17-go listopada.

**Rozwiązanie zagadki z nr. 45-go:**

**Nicea.**

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. Antonina Niemierowicz, Bronisław Adamski, Stanisław Janiszewski, Antoni Cegłowski, Rozalia Pałczyńska, *z prowincyi:* pp. E. Wolniewicz z Kórnika, Kazimira Krause z Gniezna, Zofia Kasierowska z Inowrocławia, Stanisława Nowakowska z Leszna, Irena Szałkowska z Kozłowa pod Trzemesznem, *ze Śląska:* pp. Janina Mierswa z Wrocławia, R. Woderski z Borsigwerk, *z Galicyi:* p. Franciszek Lichwa z Pnikut, *z obczyzny:* pp. Skrzydlewski i Czesław Ciastowski z Berlina, Anna Gościaszek z Franfurtu nad Odrą.

Nagrodę otrzymali: pp. Rozalia Pałczyńczyńska z Poznania, Kazimira Krause z Gniezna i Skrzydlewski z Berlina.

# Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**
14)

(Ciąg dalszy.)

W najinteresowniejszem miejscu, opowiadanie skandalu przerwanem zostało zaanonsowaniem majora Grochowskiego.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego — oczy badawcze, wzroki nawskroś przenikające.

Ale Michał nie dawał się przeniknąć. Był jak zwykle — świetny, spokojny, panujący nad sobą. Wszedł, powitał towarzystwo i usiadł obok pani domu.

Lecz jeżeli na Michale nie można było nic wyczytać, to za to w chwili jego wejścia dużo dałoby się czytać w oczach pani domu. Szczęście, że nikt na nią nie patrzył, tylko mąż, a mąż nie dowidział. Zabłyszczały jej czarne oczy i koralowe usta się ścięły, i czoło chmurą się pokryło.

Trwało to przelotną chwilkę. Kiedy Michał usiadł, cała zmiana znikła i pani domu była spokojną i taką jak zwykle.

Zawiązała się rozmowa salonowa, obojętna — o niczem i zainteresowała towarzystwo.

Śród rozmowy, zdarzyła się chwilka, w której pani Solicka i Michał mogli ze sobą kilka słów przemówić. Chwilkę tę uchwyciła pani:

— Czy prawda?... — zapytała półgłosem.

Michał skinął głową.

— To ty mnie nie kochasz?...

— Kocham... — odparł Michał.

Pani popatrzyła mu w oczy, a wzrok jej wyrzuty i zapytanie wyrażał. Skarżyła się oczami i pytała. Michał to zrozumiał i rzekł:

— Mąż....

Pani lekko wzruszyła ramionami, i w tej chwili parę wyrazów do ogólnej rozmowy dorzuciła.

Wizyta przeszła. Michał i pani Solicka nic sobie już więcej nie powiedzieli. Goście się rozjechali, i w salonie pozostali tylko mąż i żona.

Mąż siedział na fotelu i trząsł głową. Żona szybkim krokiem chodziła po pokoju.

Raptem pani zatrzymała się przed staruszkiem, i z ust jej sucho, krótko a wyraźnie, następujące padły wyrazy:

— My z sobą dłużej żyć nie możemy...

Mąż spojrzał na żonę. Jego zielonkawo-żółte oczy, żadnego nie miały wyrazu.

— My z sobą żyć nie możemy.. — głośniej i dobitniej powtórzyła pani.

— Czemu?... — złamanym, cichym głosem zapytał pan.

— Czemu?... — powtórzyła pani. — W ustach pana takie zapytanie jest impertynencyą... Czemu?... Dość spojrzeć na mnie i na pana, aby odpowiedzieć.... Ale powiem panu jeszcze coś, co odpowiedź uczyni dobitniejszą... Ja kocham, panie! kocham majora Grochowskiego....

Staruszek zerwał się na te słowa, jakby ukłuty, lub miną z miejsca wysadzony. Nic żonie nie odpowiedział, tylko postał przez chwilkę, popatrzył na nią i wyszedł. Wyszedł żywiej, jakby się po nim spodziewać było można. W przedpokoju słychać było głos jego:

— Niech zajedzie mój powóz!...

Pani była zdziwioną. Postała przez chwilkę, wzruszyła ramionami i znów chodzić poczęła. A pan wsiadł do pojazdu i kazał się wieźć do majora Grochowskiego.

Lecz nie dojechał.

Przed jednym z domów na senatorskiej ulicy, poznał powóz i konie Michała, zatrzymał się i wysiadł.

W domie tym był jeden z pierwszych i najbardziej uczęszczanych salonów stolicy. Tam był Michał. Tam zjawił się pan Solicki.

Wejście pana Solickiego było szybkie i żywe. Zdawało się, że starzec odmłodniał, odzyskał siły a z niemi jakiś rodzaj gorączkowej energii. Wszedł, powitał towarzystwo, i od razu, blisko podchodząc, zwrócił się do naszego bohatera.

— Mam się z panem rozmówić, a raczej rozprawić...

— Przepraszam państwa... — rzekł, obracając głową do koła. — Dla nas dwóch świat jest za ciasnym... Musimy ustąpić jeden drugiemu...

Głos jego był drżący, ale dość silny. Wyrazy dobitnie były wymawiane.

Przy ostatnim wyrazie podniósł prawą rękę, i uderzył Michała w twarz.

Michał zerwał się, i zbladł jak ściana, i drżał jak osikowy listek. Chciał coś powiedzieć — nie znalazł słów; chciał podnieść rękę — nie mógł jej udźwignąć.

Towarzystwo salonowe skamieniało na fotelach.

— Przepraszam państwa... — znów, ale słabiej przemówił Solicki. — Musiałem tak postąpić... Pan major wiesz, co masz dalej robić...

Skłonił się dokoła i wyszedł.

## IX.

Towarzystwo stolicy miało o czem rozmawiać. Zapomniano o odkoszu Michała i zaręczynach Stanisława, a po wielkich i małych, po eleganckich i nieeleganckich salonach i salonikach, po biurach i kontuarach, po cukierniach i szynkach, nawet po warsztatach, o niczem nie mówiono, tylko o pojedynku majora Grochowskiego ze starym Solickim. Mówiono ze szczegółami i dodatkami, ale, odarta z owych szczegółów i dodatków, rzecz tak się miała:

Nazajutrz po zniewadze, jakiej publicznie doznał nasz bohater, przeciwnicy spotkali się o świcie w Bielańskim lasku. Bili się na pistolety. Strzelali do siebie po dwa razy. Najpierw strzelił pan Solicki, i chybił. Michał także chybił. Obydwom ręce drżały i cel w oczach migotał, nie ze strachu, lecz na widok przeciwnika, jakiego każdy z nich miał przed sobą. Staruszek nie mógł ustać na nogach. Po strzale, kiedy nabijano broń, podano mu krzesło. Za drugą koleją znów pierwszy strzał dostał się staruszkowi (strzelali bowiem na losy) i znów chybił. Michał zmierzył — tym razem nie drżała mu już ręka — wypalił, i kula jego trafiła przeciwnika w skroń, i od razu go zwaliła. Lekarz podbiegł, ale nie było już po co.

Wypadek ten stał się od razu głośnym, i tego samego dnia dostał się do uszu wielkiego księcia.

Michał został aresztowany.

Pozycya bohatera naszego zachwiała się. To go jednakże mniej bolało, jak rodzaj awantury, który tego zachwiania stał się powodem. Zabić starca, nad grobem stojącego, niedołężnego i schorowanego — to wszystko jedno, co zabić kobietę. Ta myśl irytowała Michała i nasuwała mu do głowy straszny projekt. Były chwile, w których Michał miał ochotę odebrać sobie życie. Szczęściem dla niego przezorność więzienna, pozbawiła go możności urzeczywistnienia tego zamysłu. Pozbawionym będąc wszelkich siecznych i palnych narzędzi, nie był w stanie, ani się przebić ani w łeb sobie wypalić. Mógł się powiesić, na szelkach, na ręczniku, na prześcieradle; lecz ten rodzaj nierycerskiej śmierci, budził w nim wstręt. Czekał więc na sąd i wyrok, a — po sądzie i po wyroku — myślał sobie:

— W łeb sobie strzelę...

Bo też wszystko w tej awanturze było kompromitującem, i powód i skutki. Romans z panią Solicką kompromitował go w oczach spółtowarzyszy; śmierć Solickiego — w oczach władz. Przy najlepszym obrocie sądowej sprawy, nie pozostawało nic innego, jak wziąć dymisyę i opuścić Warszawę, a nawet Kongresówkę—i obrót taki zależał od wielkiego księcia, od jego humoru, albo też od wielkich dla Michała względów, na które bohater nasz mógł liczyć. Nie zależało jednakże nawet od wielkiego księcia, ocalenie jego honoru, zmazanego policzkiem od starca i zabójstwem tegoż starca, który prawie bezbronnie stanął przed nim (bo co to za zbrojność człowieka niedowidzającego i w drżącej dłoni nie umiejącego trzymać pistoletu!...) i któremu nie wiele już, może — skutkiem doznanego wzruszenia — zaledwie parę godzin, pozostawało życia. Była to nie honorowa rozprawa, ale morderstwo. Przed pojedynkiem, w rozdrażnieniu, nie widział w tem Michał morderstwa. Lecz w więzieniu stanęło ono przed nim w całej swojej nagości i obrzydliwości.

— Zwalany jestem, na wieki!... — krzyknął nasz bohater sam do siebie, złożył ręce i załamał je, aż palce zatrzeszczały.

Mierzył szerokiemi krokami więzienie swoje wzdłuż i wszerz, i zębami zgrzytał.

— W łeb sobie strzelę!... Nic mi już innego nie pozostaje!...

Podoficer od warty wszedł i wręczył mu list.

— Od kogo?... — zapytał nasz bohater.

— Nie wiem... — była odpowiedź. — Przyniósł go jakiś lokaj w liberyi, i czeka na odpis...

Michał rozłamał pieczęć, wyjął z koperty woniejący zapachem kobiecej gotowalni list, starannie złożony i na wszystkie strony drobnem, eleganckiem pismem zapisany, rzucił okiem na podpis, na którym wyczytał jeden wyraz „Tekla.“ Zmiął list w garści, rzucił go na podłogę, i gniewnie rzekł:

— Niech idzie precz!... Żadnego odpisu nie będzie!...

I znów chodził, i znów od czasu do czasu wyrywały się mu z ust wyrazy:

— W łeb sobie strzelę!...

Tak upłynęły mu, dzień cały i noc bezsenna. Na drugi dzień, bardzo rano, przed odwachem zatrzymał się jakiś powóz. Słychać było jak warta wybiegła i prezentowała broń. Potem słychać było chód jakiś, połączony z brzękiem ostróg i szczękaniem o kamienie pałasza, i do więzienia wszedł adjutant wielkiego księcia.

Adjutant uprzejmie powitał Michała, zapytał go o zdrowie i oświadczył, że:

— Wielki książę prosi do siebie...

— Wielki książę? — zapytał Michał ze zdziwieniem.

Adjutant potwierdził i dodał:

— Jego cesarzewiczowska mość nadzwyczajnie zainteresował się panem majorem... Dla teg dziś wstał raniej jak zwykle i natychmiast mnie wyprawił po pana...

Michał szybko się ubrał. W kwadrans później stał już wobec wielkiego księcia.

— Zrobiłeś głupstwo... — rzekł ten ostatni, gdy go tylko obaczył — wielkie głupstwo!... Żal mi ciebie, boś tęgi żołnierz i nie wdajesz się w filozofię... Szkoda wypuszczać ciebie z szeregów... a nie można, żeby cię z kontrol nie wykreślono... Myślałem o tem przez całą noc... Spać nie mogłem... Spać nie mogłem przez ciebie...

Ostatnie wymówił z przyciskiem. Michał uśmiechnął się i skłonił wojskowym sposobem, na znak wdzięczności za takie poświęcenie.

— Otóż widzisz, spać nie mógłem i myślałem... Ciebie wykreślą z kontrol korpusu wojska polskiego... Ale to nic... Ja ciebie każę wpisać do kontroli korpusu litewskiego, w twoim stopniu... Tylko zmienisz nazwisko... Myślałem, jakby cię nazwać... Ty się nazywasz Grochowski... Będziesz się nazywał Erbsenzwajg... Michał Erbsenzwajg... A twemu ojcu jak było na imię?

— Jan... — odparł Michał z dodatkiem tytułu książęcego.

— To dobrze... Michaił Janowicz Erbsenzwajg... Czyś kontent?...

— Waszej cesarzewiczowskiej mości rozkaz dla mnie prawem... — odrzekł Michał.

— To dobrze — rzekł wielki książę wesoło, klepiąc Michała po ramieniu — bądź dobrej myśli i nie paplaj o tem... Każę przygotować dla ciebie rozkaz pod nazwiskiem Erbsenzwajga...

Michał odsalutował i powrócił na odwach.

Sąd wojenny przeprowadzonym został zwykłym trybem, a wyrok zapadł taki, jak wielki książę przepowiedział. Bohater nasz wykreślonym został z kontrol, wyszedł z więzienia i nie odebrał sobie życia. Propozycya wielkiego księcia stawiała go w nowem zupełnie położeniu i ocalała mu honor, o którego ocaleniu był zwątpił.

Zrazu wstrętną wydała mu się myśl wstąpienia do szeregów moskiewskich. Lecz korpus litewski nie był, ściśle rzecz biorąc, moskiewskim. Miał on charakter odrębny od czysto-carskiej armii, charakter pół-polski, a sama nazwa „litewski“ sprawiała, że nie uważano go za nieprzyjacielski. Szeregi jego w większej części zapełnione były przez Polaków i dowództwo nad nim było powierzone tejże osobie, która dowodziła wojskami polskiemi, tj. w. księciu. Przytem dużo podówczas mówiono o przyłączeniu Litwy, a nawet Ukrainy do Polski, i spodziewano się tego, jako rzeczy przez cara Aleksandra I. obiecanej.

Z tych powodów wstręt Michała upadł i przyszłość w jaśniejszych przedstawiła mu się barwach. Po rozpaczy nastąpiła rozwaga. Ujrzał honor swój ocalony — a ocalony przez wielkiego księcia. Rozstał się z myślą samobójstwa i z rozkazem w kieszeni pojechał do jednego z husarskich pułków korpusu litewskiego.

* * *

Michał Iwanowicz Erbsenzweig został stopniowo podpułkownikiem, pułkownikiem, jenerałem brygady. Wojna polska w 1831 roku zastała go jenerałem dywizyi. Dowodził w niej dywizyą lekkiej kawaleryi. Widział przed sobą nieraz rozwinięte sztandary narodowe, i na ich widok serce przyspieszonem biło tętnem i jakaś rzewność pierś mu napełniała, ale nie pobiegł i nie stanął pod niemi, bo mu honor nie pozwalał opuszczać sztandarów nieprzyjacielskich.

Pierwszy raz gdy ujrzał orły białe na czerwonem tle pływające, było mu najtrudniej obronić się silnemu wzruszeniu. Było to bowiem pod Grochowem. Ze stanowiska, jakie podczas bitwy zajął, widział zdaleka Pragę, świecącą w mgle dachami domów i kopułami kościołów. Jakieś wspomnienie gwałtem mu się do myśli cisnęło, ale on je odgarniał. Jeździł pomiędzy pułkami, wglądał w porządek, był bardzo czynnym, galopował tu i tam, lecz doświadczony fizyonomista, przypatrzywszy się pilnie jego twarzy, dostrzegł by w niej jakiegoś niepokoju.

Niefizyonomista pomyślałby może że generał tchórzy, że nerwy jego znieść niemogą huku dział i grzechotu ręcznej broni. Michał jednakże nigdy nie był tchórzem, i dowiódł tego bardzo świetnie w tejże wojnie. Ale pod Grochowem coś go drażniło, z czemś walczył wewnętrznie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)